

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

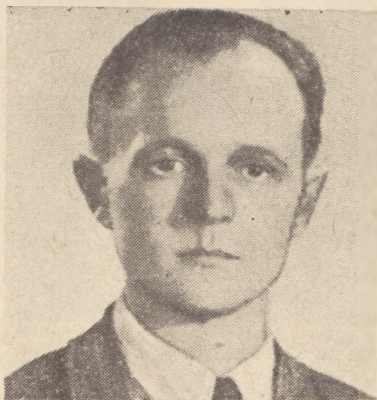
Warszawa, dn. 26 marca 1950 r.

Nr 12 (243)

„Sami tego nie zauważamy, jak rodzą się w nas nowe dzieje życia. Dopiero gdy jakiś pisarz zajdzie do nas, zobaczy, posłucha i reportaże o nas napisze, wielu z nas dowie się o naszych własnych przemianach społecznych. To, na co codziennie patrzymy, czego dotykamy, staje się dla nas zwykłością i zapominamy, że to są rzeczy nowe, wielkie, dzięki którym stajemy się prawdziwymi bohaterami. Dopiero może po przeczytaniu reportaży będziemy dumni, gdy nam powie: „Ludzie kochani, toć te wielkie i piękne rzeczy i sprawy, to wasze własne, wyście je zbudowali odrodzeniem się waszego ducha, waszą wiarą w społeczeństwo, w samych siebie. Wy, to Polska. Czy wiecie o tym?“

Seweryn Skulski — Na przelomie (Praca konkursowa)

LAUREACI KONKURSU „WSI”



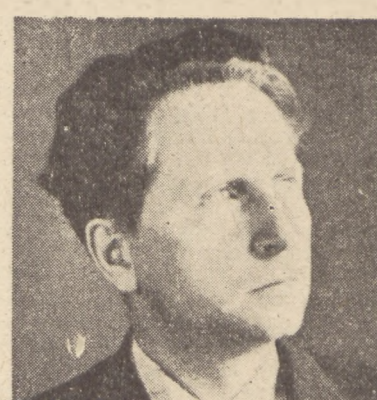
Henryk Worcell
I-sza nagroda.



Władysław Machejek
II-ga nagroda.



Zbigniew Kwiatkowski
III-cia nagroda.



Stefan Turnau
III-cia nagroda.

HENRYK WORCELL

REWOLUCJA W GURANOWIE

(I nagroda za „reportaż o wsi”)

W mieście człowiek może żyć dziesięć lat w kamienicy i nie wie, co to jest sędziwa z pierwszego piętra. Inaczej na wsi: tu wszyscy się znają na wyrost, wiedzą nie tylko co kto robi, ale i co myśli. Błahe zdarzenia, na które w mieście nie zwraca się uwagi lub kwituje je wzruszeniem ramion, tu, na wsi stają się nieraz sensacją. Każde słowo wypowiedziane przez sąsiada, każdy jego ruch jest zachłannie obserwowany. W mieście patrząc przez okno na ulicę widzi się barwny tłum i ruch pojazdów — wieśniak zaś z okna swojego domu widzi Kowalskiego, który wiezie do miły na zboże (metr pszenicy i dwa metry żyta, bo właśnie wczoraj mówił, że tyle zawiezie) — widzi Pawłowskiego, który prowadzi swoją kobyłę do kowala (by przybić podkowie do przedniej nogi, bo wczoraj właśnie kobyła zgubiła tę podkowę) — widzi starą Jakubowską idącą do spółdzielni (by kupić cukru, kawy i materiału na fartuch, bo właśnie wczoraj syn jej dostał wyplatę za robotę w lesie).

Mieszkańcy Guranowa, zapadłej, górskiej wsi powiatu Kłodzkiego, znali się tym lepiej, że stanowili gromadę niewielką, liczącą 72 numery i niespełna czterysta ludzi. Większość z nich osiedliła się tu latem i jesienią 1945 r.

Repatrianci z Bugu stanowią 30 proc., reszta to przesiedleńcy z województw centralnych: z Podhala, spod Kielc, Częstochowy, Poznania, Rzeszowa. O jakichś zawodach dzielnicowych wśród tutejszych ludzi nie warto wspominać, gdyż nie ujawniły się one tak jasnowarowo.

Wiosną 1946 r. ówczesny sołtys, Ludwik Sarna, wspólnie z niejakim Karolem Gajusem i młynarzem Kobryńskim zorganizował w Guranowie koło PSL, którego prezesem został Gajus. Ołbrzymia większość mieszkańców Guranowa zajęta gorączkową pracą na opuszczonych przez Niemców gospodarstwach nie orientowała się w ówczesnej sytuacji politycznej, nie słyszała jeszcze nazwiska Mikołajczyka. Z chwilą, kiedy to nazwisko stało się głośnie, kiedy prasa ujawniła wstępną ideologię PSL-u, osadnicy zaczęli się wycofywać z tego stronnictwa. Sołtys Sarna zdołał wkręcić się w szeregi PPR i przez pewien czas uchodził nawet za aktywistę, a Gajus i młynarz Kobryński po dłuższym namyśle, słysząc o rozdzielkach panujących w PPS i licząc na zwycięstwo prawicowców stali się „sojalistami” — „zeszli w podziemie”, jak to dowcipnie określił pan Gajus w rozmowie z Kobryńskim. Czterdziestoletni Kobryński, starszy kawaler, syn wołyńskiego ziemianina, prawnik z wykształcenia, zajął w Guranowie młyn poniemiecki i 8 ha ziemi. Niewiele się znał na młynie, więc dopóki to było możliwe posługiwał się Niemcami, a po wysiedleniu tych przyjął sobie współnika, niejakiego Koszewskego, również zabuzanina. Ten był agronomem, ale swego wykształcenia nie ujawniał. Ostrożny, lekki, zdobywał się na szczerość jedynie w ciasnym kołku swych przyjaciół — powiedział, że woli u Kobryńskiego gnoć wyrzucić niżeli swymi zdolnościami popierać „zarazę komunistyczną”. A po wtóre: „pryjdzie czas, kiedy komuniści zaczną starą inteligencję tepić — może mi się uda, jako parobkowi, przetrwać szczęśliwie do wojny”. Trudno dociec jaką drogą te jego wynurzenia dotarły do wiadomości szerszego ogółu — najprawdopodobniej poprzez Gajusa doszły do dwóch kulackich rodzin z Bugu, Kałuskich i Surmańskich, a stamtąd rozeszły się po



całej wsi. Trzeba to powiedzieć, że na wsi nie kobiety, lecz mężczyźni są największymi plotkarszami. Choćby chłopie chciał zataić naskrytą myśl, wypowiesz ją wcześniej czy później; jak nie językiem, to mrugnięciem oka, — bo coś może być ciekawszego dla ciebie nad to, co czuje i myśli człowiek otoczony zewsząd milczącym polem i nieruchomym lasem? Demaskowanie ludzkich myśli dokonuje się tu z równą żywotnością, z jaką rodzi się kulacki kapitalizm. Nie dziwnego więc, że o Gajusie wieś wiedziała znacznie więcej, niżby on się spodziewał. Do Guranowa przybył jesienią 1945 r. i będąc jeszcze kawalerem, zajął dwudziestohektarowe gospodarstwo. Udało mu się to ze względu na mundur oficerski. (Jako podpor. żandarmerii dostał się był do niewoli

wrogów z tych ludzi, narażać się na odmowę pożyczania konia czy zniwiarę. Zresztą, do kogo się mieli udać ze skargą? Do woźty, do Rady Narodowej? Ależ tam właśnie Gajus miał największe wpływy — gmina popierała Gajusa, bo był jej potrzebny jako zdolny organizator, fachowiec. Wszędzie Gajus jako prezes, jako kierownik, jako sekretarz — na każdym zebraniu jakie przewodził. Jednego tylko stanowiska Gajus nie przyjął: gdy nastąpiło zjednoczenie PPS i PPR i stanęła także kandydatura Gajusa na stanowisko sekretarza PZPR, ten stanowczo się wymówił. „Darujcie, ale ja już mam tyle roboty, że sobie rady dać nie mogę. Niech kto inny też popracuje społecznie, mamy przecież odpowiednich ludzi. Ja osobiście byłbym za tym, żeby leśniczy Gradek był sekretarzem”. Rzeczywiście! Leśniczy, chłop młody i zdolny, każdy się z nim liczył, czemużby nie mógł być sekretarzem? Co prawda ludzie wlot się zorientowali, że Gajus, Kobryński i Kałuski żyją w dobrych stosunkach z leśniczym, że tam jakieś interesy z drzewem miewają, ale to przecież ludzka rzecz, a Gradek też innym idzie na rękę i jeżeli ktoś wiezie z lasu furę g... i nadziających jakąś grubszą „duszą”, to po trafi na to przez palce patrzeć. „Kto jest za Gradkiem?”

— „Wszyscy!” — „Kto przeciw?” — „Nikt!” — „Pięknie, widać, że gromada jednomyślna, zgodliwa. Atoli po Nowym Roku 1949 zaczęło się coś psuć w gromadzie. Najpierw wybuchła sprawa sołtysa Sarny. Człowiek ten zasiedziały na swym stanowisku od r. 1945, stopniowo przywykał do szabru, coraz częściej urządził kosztowne populanki, coraz więcej potrzebował pieniędzy, aż w końcu przebrał miarę i zaczął popełniać zbyt jasrawe nadużycia. W grudniu 1948 stał się głośny jego „czyn”. Chodziło o gromadzką cegły, które sołtys Sarna sprzedał jakimś obcemu człowiekowi i uzyskał pieniądze (około 40.000 zł), które zatrzymał dla siebie. Do Komisji Specjalnej wpłynęło anonimowe pismo w tej sprawie i po Nowym Roku w Guranowie zjawiała się milicja. Sprawy nie dało się zatuzować, cegła była wywożona w dzień samochodem. W trakcie dochodzeń ujawniły się inne nadużycia sołtysa: kradzież maszyn, sprzedaż bydła poniemieckiego, nielegalny ubój, pobieranie łapówek itd. itd. Sołtysa aresztowano. Na gromadzie padł strach, albo wiem niejedną z osadników w ten czy inny sposób był za sprawami Sarny związany — podobno Gajus był wmięszany w jakiś gruby szaber. Zaznaczyć wypada, że podobne historie były nie rzadkie dla stosunków panujących na Ziemiach Odzyskanych, gdzie początkowo w okresie wysiedlenia Niemców prawo własności prywatnej czy państwowej — chociaż określone formalnie — w pojęciu napływowej ludności nie było jeszcze utrwalone — i gdzie kradzież nie nazywała się kradzieżą, lecz była określaną synonimem: szaber. Teraz już nie słyszy się tego słówka, a wszelkie nadużycia określane są ich właściwym mianem. Może i nie trzeba się zbytino dziwić, że wiele spraw sołtysa Sarny umorzono, a tego samego skazano latem ub. r. tylko na dwa

lata więzienia. Stanowczo jednak trzeba się dziwić, że od chwili ogłoszenia wyroku po dziś dzień człowiek ten znajduje się na wolności.

Jeszcze nie przebrzmiała sprawa sołtysa, jeszcze we wsi huczało jak w ulu na wyroju, gdy wybuchła nowa bomba: oto w „Chłopskiej Drożce” ukazał się artykuł St. Oleszki, osadnika z Guranowa. Tytuł: „Spółdzielczość to dobra rzecz”, a u dołu wyraźnie St. Oleszko, wieś Guranów, pow. Kłodzko. Sensacja podwojona, bo nikt się nie spodziewał, że Oleszko potrafi pisać do gazet; że się odważy poruszyć tak ryzykowny temat.

Muszę się przy tym człowieku zatrzymać dłużej, gdyż odegrał on wybitną rolę w wypadkach, jakie później zaszły w Guranowie. Oleszko to młody, dwudziestoosmiolletni repatriant z Białorusi, syn pięciomorgowego chłopca. Wykształcenie: 4 klasy szkoły powszechnej. Pierwsze lata po wojnie spędził ze swą żoną i córeczką na tułaczce po Pomorzu. Do Guranowa przybył późną jesienią 1947 r. i zajął opuszczone przez pewnego górala dwuhektarowe gospodarstwo. Zimą pracował w lesie i nawet nie źle zarabiał, latem nie mając wiele roboty na swojej działce pracował na dniówkę u Gajusa i też nie marzał, bo Gajus z wyplatą nigdy nie zalegał. Dziwno to Oleszko, bo już zauważył, że Gajus nie wszystkim tak skrupulatnie wyplacał. Bardzo często pracowała u niego pewna autochtonka, kobieta już starsza, matka pięciorga dzieci, żona szewca Barcza. Zjawiała się na każde zawołanie, porzucając nieraz pilne zajęcia domowe, pracowała nachmurzona, zła, niechętna do rozmowy, zezem patrzącą na ludzi. Gajus niewiele do niej odywał, traktował ją z góry, płacił jej nieregularnie i mniej niż innym robotnikom. Tajemnicza tego wyzysku wyjaśniła się w końcu. Otóż Gajus dostał w swoje ręce haniebny dokument autochtona Barcza, podpisany przez Hitlera, dyplom dziękczynny za gorliwe pełnienie funkcji „Pressecnefa” na terenie tutejszej gminy — więc po prostu szantażował Barczów tym dokumentem. Ale w owym czasie Oleszko nie wiedział o tym i nie umiał sobie wytłumaczyć brutalnego stosunku Gajusa do pracowitej autochtonki. Zresztą w tym czasie Oleszko wiele rzeczy nie umiał sobie wytłumaczyć. Często bywał świadkiem rozmów, jakie się toczyły między Gajusem a Kobryńskim lub Koszewskekim. Panowie ci traktowali go isticie z pańska, nie liczyli się z jego obecnością, rozmawiali tak, jak gdyby on był nierozumnym dzieckiem, albo jakby oni posługiwali się obcym językiem. Nie jedno zdanie utkwiło mu w pamięci. „Z jakiej racji dyktatura proletariatu?” — mówił raz Kobryński. — „Dlaczego niby ta znikoma mniejszość, jaką stanowi proletariat, ma sobie usurpować władzę nad całym narodem? Przecież wszystkim jeśli chodzi o większość, to chłop powinien tu mieć coś do powiedzenia, a chłop nie chce komunę.”

— Jakże to — pomyślał sobie Oleszko — ja przecież chłop, a skąd ty wiesz, że ja nie chcę komunę? A Bobiński też chłop i też komunista, i tamci z górnej części

wsi, co należą do partii, to też chłopci i komuniści.” Nie miał jednak jeszcze na tyle odwagi, by przerwać panom dyskusję, wnieść się do ich rozmowy. Innym razem zastanowiły go słowa Koszewskego: — Proszę was, to jest fakt dowiedziony, że w miarę uprzemysłowienia kraju proletariat rośnie w siłę i wywiera coraz większy nacisk na rząd, wywalcza sobie prawa i przywileje. Po cóż więc robić gwałtowny przewrót, rewolucję, kiedy proletariat może osiągnąć dobrobyt drogą ewolucyjną, bez przelwu krwi, bez krwawej dyktatury.

Oleszko czuł, że w całym tym rozumowaniu tkwi jakiś zasadniczy błąd, pamiętał, że Bobiński



twierdził coś wręcz przeciwnego, mimowoli przypomniał też sobie białoruskiego dziedzica Lutyńskiego, którego okoliczne chłopstwo w żaden sposób nie mogło zmusić do ustępstwa — ale jakoś nie umiał sprzeczyć swoich myśli i w formie jakiegoś argumentu przeciwstawił jej wywód Koszewskego, zwłaszcza, że ten zamilkł, a mówił Gajus: — „Nieraz się nad tym zastanawiałem, że natury ludzkiej nie da się zmienić. Nigdy nie uwierzę, żeby człowiek przestał być egoistą. Dopóki jest żywy zawsze będzie dążył do osiągnięcia bogactwa kosztem innych. Chcąc stumieć w człowieku ten żywotny pęd, trzeba postawić nad nim policjanta, a nad tym policjantem jakiegoś oberpolicmajstra itd. aż do naczelnej władzy. A człowiek taką już ma naturę, że zawsze będzie dążył do osiągnięcia bogactwa. To znaczy co? Po prostu, że rewolucja musi być permanentna. I tego ani Marks ani Engels nie przewidział.”

— A robotnik fabryczny? — wywrwał się Oleszko jakoś wbrew własnej woli i poczuł na sobie zdziwione spojrzenia trzech rozmówców.

— Co, robotnik fabryczny? — zapytał Kobryński.

— Ano to, że robotnik nie chce być bogaczem. Jak mu dobrze płacą, to już zadowolony i niczego więcej nie chce.

— Bo wie, że więcej nie dostanie — powiedział Kobryński. — A pan nie chciałby być bogatym?

— Nie — odpowiedział Oleszko, dziwiąc się swej niespodziewanej wymowności — bo na co mi pięć ubrań, kiedy mi dosyć dwa: na

święto i na codzień. Albo na co mi dziesięć świń, kiedy ja tylko dwie mogę zjeść do roku. To nie prawda, że każdy człowiek chce być bogaty.

Kobryński lekceważąco machnął ręką: — To się panu tylko tak wydaje. — Ej, nie — odpowiedział Oleszko z namysłem — mnie się wydaje, ale co innego. Pan Gajus mówi, że pęd do bogactwa... Może i tak, ale nie u wszystkich ludzi. Jak ja niczaj robię w polu, choćby i u pana, to przecież wiem, że nie robię dla siebie, ale robię coraz prędzej, coraz prędzej, coraz lepiej, chciałbym się z kimś wyścigać i jestem taki zadowolony, że mi więcej do szczęścia nie trzeba. To też jest jakiś pęd, ale nie do bogactwa... Nie, nie, to nie do bogactwa. Mnie by bogactwo nie cieszyło, a jak mi robota idzie dobrze, to mnie właśnie cieszy, to jest moje bogactwo, to jest moje życie.

— Niewolnicza dusza — mruknął po francusku Koszewskego i na tym rozmowa się skończyła. Oleszko pożałował się chłoczno ze swymi oponentami. — Czekajcie panowie — pomyślał sobie opuszczając dom Gajusa — ja się wam postaram na wszystko odpowiedzieć...

Następnego dnia napisał podanie o przyjęcie do partii i złożył je na ręce ówczesnego sekretarza, Wiśniewskiego. A potem... W tym okresie, jesienią 1948 r. w Guranowie rozwinęło się czytelnictwo. Nowy listonosz, Stefan Milkner, obsługujący sąsiednią wieś Piotrowice, gdzie mieścił się urząd pocztowy, i dojeżdżający rowerem do Guranowa uwziął się, by w tej małej gromadzie mieć sześćdziesięciu prenumeratorów i w końcu dokonał tego. Ludzie chcąc nie chcąc przyzwyczaili się do czytania i sami żądali coraz to nowych gazet. Rzecz charakterystyczna, że ołbrzymią większość prenumeratorów stanowili robotnicy leśni i małorolna biedota z górnej części wsi. Ci bogatsi z dołu, wykupujący z spółdzielni lwią część monopolówki, ograniczali się do jednej gazety na rodzinę. Czytając „Chłopską Drożkę”, później „Gromadę” Oleszko ciągle napotykał artykuły chłopskich korespondentów i redakcyjne wezwania: „Piszcie do nas o swoich sprawach”, „Piszcie o wszystkim, co was boli i co was cieszy!” — „Bądźcie współredaktorami naszego pisma!” I Oleszko chwycił za pióro: „Co mnie boli? Boli mnie, gdy widzę jak mój sąsiad całymi dniami orze jednym wołem i nie może się z roboty wyrzębać. A cieszy mnie, gdy widzę jak w majątku państwowym traktor ciągnie czterostokobowic i w ciągu dnia orze tyle ziemi, ile mój bidny sąsiad swoim wołem w dwa tygodnie. Boli mnie, gdy widzę, że jeden sąsiad pracuje w polu maszynami i z dnia na dzień staje się bogatszy, a drugi sąsiad haruje rękami i nie może sobie pozwolić na cdrobnie masła do chleba”. Nie wymienił nazwisk, ale pisał tak, że każdy w Guranowie mógł się domyśleć o kogo chodził. Zresztą nie zależało mu na wskazywaniu palcami: ty Gajusie jesteś bogaczem, ty Kobryński jesteś reakcjonistą, ty Kałuski masz naturę kulaka — chodziło mu o rzućenie hasła: „Spółdzielczość to dobra rzecz”. Zdawał sobie sprawę, że artykuł wywoła burzę, liczył jednak na moralne poparcie ze strony robotników leśnych i całej górnej części wsi. Artykuł ukazał się w drugiej połowie stycznia, w dwa tygodnie po aresztowaniu sołtysa Sarny.

Sekretarzem PZPR był już wtedy leśniczy Gradek. Wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy, jak stras-

(Dalszy ciąg na stronie 2-ej)

(Dokończenie ze strony 1)

szliwą bronią, biczem na zacofańców wiejskich są artykuły w „Chłopskiej Drodze”, lub „Gromadzie”. Zaden robotnik, zaden inteligent nie boi się tak „opisania w gazecie” jak chłop. W tym małym środowisku, jakim jest wieś, chłop, a szczególnie bogacz, czuje się kimś niesłychanie ważnym i z chwilą, gdy w prasie ukazuje się nagana pod jego adresem, wydaje mu się, że cała Polska patrzy na niego, wytyka go palcami. I chcąc nie chcąc, obok nienawiści do korespondenta wiejskiego czuje przed nim respekt, jak gdyby ten zamiast pióra rewolwer miał w kieszeni. Przez jakiś czas po ukazaniu się artykułu Oleszki, u Gajusa odbywały się tajemnicze narady, ciągle tam ktoś przychodził — jak nie Kobryński z Koszewskim, to Kałuski i Surmański i Albinak, często leśniczy Gradek.

W jaki sposób dowiedziano się, o czym tam mówiono, trudno dobiec — dość na tym, że pewnego wieczoru u Oleszki zjawili się Bałowski i Wisniewski i z miejsca mu oświadczyli: — Ty wiesz, jaki oni tam bat na ciebie kręca? Po pierwsze, chcą cię z partii wyłać, a po drugie piszą jakiś list na ciebie do „Chłopskiej Drogi”. Ale nie bój się, z partii cię nie wyrzucą, bo po twojej stronie będzie większość, a do „Chłopskiej Drogi” my też potrafimy napisać. A zresztą, co tobie mogą zarzucić?

Istotnie, Oleszce nie mogli zarzucić, bo ani wyzyskiwaczem nie był, ani nie nikomu złego nie zrobił, ani wreszcie o reakcjonizm pomówić go nie było można — i wreszcie sam Kobryński zwrócił swoim kompanom uwagę, że wszelkie próby „unieszkodliwienia” Oleszki mogą wywołać całkiem odwrotny skutek, i Kałuski też przyniósł mu rację: „lepiej go nie ruszać, bo śmierdzi”. Namyślano się jeszcze, na jakiej podstawie mógłby Gradek odmówić Oleszce pracy w lesie, ale żadnej podstawy nie wymyślono. — Zwolnić go — mówił Gradek — to napisze do gazety, że jest malarolny, że mu leśnictwo roboty nie daje i znowu będzie krzyk”.

Skończyło się na tym, że Oleszko otrzymał dwa anonimowe listy z pogrozkami i wyzwiskami napisane przez kogoś we wsi, ale wysłane aż do Kłodzka. Niemal równocześnie otrzymał z redakcji „Chłopskiej Drogi” list zawierający słowa uznania i zachęty do dalszej współpracy i dzięki temu listowi zrozumiał, że w walce z miejscowym zacofaństwem nie jest osamotniony, że prócz swoich towarzyszy, robotników leśnych, ma potężne zaplecze w Warszawie.

Rzecz jasna, że do Gajusa już nie zachodził. Wiś wyraźnie podzieliła się na trzy obozy: 1) reakcyjną klikę Gajusa, Kobryńskiego, sekretarza PZPR Gradka i kilku ich przyjaciół zabuzan, 2) postępową grupę Oleszki, Bobińskiego, Wisniewskiego i wielu z tych biedniejszych z górnej części wsi, 3) chwiejną, zdezorientowaną, po części stertoryzowaną przez bogaczy grupę średniorolnych. Te same ugrupowania i w tym samym stosunku procent-

owym utrzymywały się w partii, liczącej około 40-tu członków. Zdałoby się więc, że postępowcy, mając w swej grupie potężne zaplecze „Chłopskiej Drogi”, powinni byli łatwo osiągnąć zwycięstwo, zjednać sobie chwiejnych średniorolnych, stłumić działalność opozycjonistów. I Oleszce też się tak zdawało, dopóki nie wpadły mu w ręce egzemplarze „Nowych Drog”. Dopóki nie zaznajomił się trochę z literaturą marksistowską. Zrozumiał, że reakcjonisci miejscowi, ci z Guranowa, sami jako tacy nie są groźni. Są niebezpieczni i trudni do pokonania dlatego, że również mają swoje zaplecze: w gminie, w powiecie, a może i w województwie.

Wiosną 1949 r. powstał w Guranowie ośrodek maszynowy. Pełnomocnikiem i zarządcą mechanicznym ośrodka mianowano Bobińskiego, bo ten znalazł się na maszynach — podczas wojny obsługiwał młyn parowy. Ośrodek mieścił się wśród rozległych zabudowań plebańskich. Książdz Walczak zgodził się na to bez wahania i nawet odstąpił Bobińskiemu pokój mieszkalny na plebanii. Ta jego ugodowość w stosunku do gromady niewiele go kosztowała, ale on sam też nie miał pretensji, by mu ją poczytywano za jakąś ofiarę, czy dobroczynność. Bobiński zabrał się do pracy z zapalem. „Ośrodek maszynowy — mówił do swych przyjaciół — to początek kolektywizmu. A dobry ośrodek, to już pół kolektyw”. Niestety, ośrodek nie był dobry. Bobiński dostał same stare maszyny, wybrukowane gruchoty, których już nikt nie chciał naprawiać. Gajus np. oddał do ośrodka zdobytą gdzieś starą, zapasową kopaczkę, a drugą, o wiele lepszą, zatrzymał dla siebie. Kosiarke też zatrzymał, bo jak sam mówił — codziennie musi kosić mieszankę dla bydła, więc nie będzie za każdym razem biegał po maszynę do ośrodka, zniwiarki też nie odda, bo sam ją zremontował, kosztowała go trzy tysiące. Zresztą gmina się na to zgodziła, gmina idzie Gajusowi na rękę, więc gromada nie ma nic do gadania. Bobiński szperał po domach, po warsztatach, zdobywał śruby, materki, piły, nożyki do kosiarek, jeździł do gminnego ośrodka i upominał się o części zapasowe, o nowe piótno o części zapasowe, o nowe piótno do snopowiązałki — i w końcu zremontował wszystkie maszyny. Oleszko w tym okresie często go odwiedzał i pomagał w pracy. Nieraz przynosił z sobą egzemplarz „Nowych Drog” lub inne czasopismo i czytał mu ciekawsze fragmenty rozpraw leninowskich albo sprawozdań. — Oł, widzisz — mawiał niekiedy Bobiński, mając na myśli Gajusa i Gradka — z tego im trzeba wygarnąć kiedy na zebraniu partyjnym!

Zbliżały się żniwa. Normalnie zbierają się one w Guranowie (400 m. nad poziom morza) w ostatniej dekadzie lipca. Ubiegłego roku wskutek długotrwałych deszczów i chłódów panujących w tej okolicy zboża dojrzały powoli i dopiero piątego sierpnia zaczęto je kosić na południowych stokach. Atoli w dwa dni później nad Guranowem przewalała się burza z piorunami, następnego dnia znowu lunęło i już z

krótkimi przerwami lało do dwudziestego sierpnia.

Nabrzmiła deszczem chmury napływały bezustannie od strony Kłodzka i przewalały się ku zalesionej i górzystej granicy czeskiej. W taki czas wydaje się ludziom, że tak już będzie zawsze i że taki sam potop zalewa cały kraj — stare baby przebakują o potopie, o końcu świata. Potok z rozgośnym szumem toczył swoje mętne wody, zrywał drewniane mosty i podmywał szosę, a na stromych zboczach po jednej i drugiej stronie wsi wielkie poacie zboża przyklepane ulewą pokładły się na ziemię, co z daleka wyglądało, jak gdyby jakieś wielokoludy wytarzały się po nich. To co skoszone, na garściach lub snopkach — zrosło; ziarno w kłosach napęczniało i wypuściło białe kielki — i ludzie już wiedzieli, że z tego zboża nie będzie chleba.

Tylko dzieci miały ogromną uciechę, godzinami wystawiały nad

choćby nawet był, to i co? Ważne jest, że chłop porządny, a czy on Ukrainiec czy Tatar, co komu do tego? Jakes taki nacjonalista, to se Hitlera powieś w domu na ścianie!

— Dajcie mu spokój, Bobiński — odezwał się któryś ze starszych — on nawet nie wie, co to jest nacjonalista. Za młody, żeby wiedział.

Bobinski zapalił papierosa i zwracając się do bliżej stojących rzekł już tonem łagodniejszym:

— Ano pewnie, jakby go zapytał, co to jest nacjonalista, to by nie umiał odpowiedzieć, ale za to robi i myśli jak nacjonalista. A skąd się to u niego bierze? z powietrza? Słyszycie co stary gadają, a i on to samo. Tylko, że stary są ciwni i nie pójdą na rynek wolać, że Polska od morza do morza, bo wiedzą czym to pachnie. No, no mamy tu takich, nie trza palcem wskazywać.

— Gajus... — odpowiedział któryś z osadników, inni chrząknęli dwuznacznie, zaśmiali się.



W ośrodku maszynowym w Guranowie

wiezbzanym potokiem w nadziei, że lada chwila stanie się niebywała katastrofa: runie ostatni most, zawałi się jakiś dom. Niestety, oprócz dwóch młotów żaden dom się nie zawalił, chmury się przetrwały, wyjrzało słońce i woda w potoku zaczęła smutnie opadać.

Wtedy guranowscy osadnicy wyroili się z domów i poszli oglądać szkody poczynione przez ulewę.

W drugi dzień pogody Oleszko poszedł do ośrodka maszynowego; zastał tam już spore ludzi i akurat trafił na jakąś kłótnię. Okazało się, że to mechanik Bobiński psioczy na młodego osadnika Miklasa.

— Tobie, psiamac, bieda mała jeszcze dojadła! Zdałoby ci się że dwa lata niemieckiego lagru, to byś inaczej na ludzi patrzył.

— Może ja więcej przeszedł niż ty — odburknął młody Miklas wycofując się jednak poza plecy osadników.

— Tyś przeszedł, ale jak tobie Ukrainiec psubrat, to ty gorszy psubrat! Tobie wszystko co obce, to śmierdzi, a sam co jesteś? Jak by ci dać prawo, to byś sam hulnął jak banderowiec! No, no!

— A o co chodzi? — zapytał Oleszko, podchodząc do mechanika.

— Bo jemu się nie podoba — rzekł Bobiński, wskazując kluczem francuskim na Miklasa — że Figurskiemu maszynę na popołudnie daje. Powiada, że to psubrat Ukrainiec, a maszyny trza najpierw Polakom dawać.

— Przecież Figurski nie Ukrainiec — wtrącił któryś z osadników.

— Ja wiem, że nie Ukrainiec, ale

A Oleszko przyszedł tu właśnie w sprawie Gajusa. Koszenie jest pilne, zwłaszcza na południowych stokach, gdzie słońce dogrzewa i ziarno zaczyna się wnet spaść, a zniwiarek mało. Czemuż to maszyna Gajusa stoi beczynnie na podwórzu?

— Przecież Gajus miał kosić od rana — odparł Bobiński.

— Nie, nie kosi, widziałem, że powrócił robi. A zresztą jego zboże nie pilne, bo na północnej stronie. Maszynę trzeba mu zabrać! Kto pójdzie ze mną?

Zgłosiło się dwóch, którzy już czekali pod plebanią z parą koni. Gajusa zastał z jego siostrą i nieodzowną autochtonką Barczową przy powrościach w stodole.

— Panie Gajus, zabieramy zniwiarkę, bo potrzebna.

— Nie zabieracie, bo zniwiarka jest moja — odburknął Gajus — macie maszyny w ośrodku, to bierzcie.

— Pan wie dobrze, jakie maszyny są w ośrodku, boś pan sam dał zepsuta kopaczkę. Biercie, zaprzęgać! — zawołał do swych towarzyszy stojących przy koniach, a ci natychmiast ruszyli ku maszynie.

— Panie Oleszko! — zawołał Gajus porzucając robotę i wychodząc ze stodół — pan za to będzie odpowiadał!

— Przed kim, przed prezydentem Mościckim? Skończyły się wasze czasy, teraz gromada ma głos, nie wy. Poczekajcie jeszcze trochę, to wam całkiem nosa utrzymę! Wio, jedźcie! — zawołał do zniwiarzy.

— Jak skończycie, to sprowadźcie maszynę tu. A jak tam u Kałuskiego, maszyna w ruchu?

— Tak, Kałuski kosi! Tylko u Surmańskiego zdaje się, maszyna stoi. Do Kobryńskiego też wartoby zajrzeć.

— Zaraz tam pójdę!

I Oleszko chodził po wsi, ścigał wolne maszyny do ośrodka i wysyłał je tam, gdzie koszenie było najpilniejsze. Następnego dnia uzgodnił z Bobińskim plan pracy, zwoływał ludzi i zaczął ich do koszenia nie tylko w dzień, ale i późnym wieczorem — pogoda niepewna, przecież to już koniec sierpnia, a i na konicynię i na potraw też przychodzi czas. Ludzie pyskowali trochę, mruzczyli, że Oleszko siedzi bez przerwy im na karku, ale w gruncie rzeczy byli zadowoleni, gdy po dziesięciu dniach gorączkowej pracy w polu pozostały tylko gdzieś tam samotne „lalki”. Zresztą nikt się nie ważył wystąpić jawnie przeciw Oleszce, bo znow w tym czasie ukazał się w „Chłopskiej Drodze” jego artykuł pt. „Nasza Dyktatura” — znow Oleszko

poczuł za sobą potężne zaplecze i już gotów był do wystąpienia na gromadzkim zebraniu — czekał tylko okazji. W swym artykule pisał między innymi tak: „Są tacy, którzy twierdzą, że proletariatu stanowić mniejszość i dlatego nie ma prawa do rządzenia społeczeństwem. Otóż właśnie ci, którzy tak twierdzą, stanowią znikomą mniejszość.

Mamy we wsi około 80-ciu gospodarzy. Dwunastu z nich nie chce dyktatury proletariatu, około dwudziestu zajmują stanowisko chwiejne, niezdecydowane, a reszta, tj. około pięćdziesięciu, wyraźnie opowiada się za socjalizmem, za dyktaturą proletariatu. Jutro, być może i ci chwiejni przyłączą się do nas. Jest nas ogromna większość, mamy prawo do rządzenia”. I jeszcze: „W nas samych tkwią jeszcze stare nawyki, jeszcze boimy się wszystkiego, co nowe, jeszcze nami rządzi strach przed nieznanym, ale strach ten zniknie z chwilą, gdy pierwsze plugi kolektywne zaorzą nasze odwieczne miedze”.

W połowie grudnia odbyło się w Guranowie ważne zebranie gromadzkie. Przyjechał ze starostwa jakiś delegat, przyjechał wójt i sekretarz gminy, przy stole prezydium zasiadł także nowy sołtys, Janek i sekretarz P.Z.P.R. Gradek. Najpierw przemawiał delegat, potem wójt — obaj zwracali się do osadników z gorącym apelem, by nie sprzedawali zboża prywatnym handlarzom, lecz dostawali je do spółdzielni — mówili przekonująco, udzielali głosu osadnikom, przynależni im rację, gdy chodziło o zaopatrzenie w zboże robotników leśnych — jednym słowem dogadał się z sobą.

Później było gorzej. Delegat powiatowy odczytał z jakiegoś broszury artykuł propagandowy o spółdzielniach produkcyjnych.

Potem omówił statut 3-ich typów spółdzielni produkcyjnych. Następnie zabrał głos sekretarz Gradka i też gładził. Mówił, że spółdzielnie produkcyjne już w Polsce istnieją, że ludzie tam pracujący są zadowoleni i mają co jeść — wreszcie zakończył tak: „Jeżeli wam ktoś

mówi, że w takiej spółdzielni jest ludzimo źle, to mu nie wierzcie, bo nie taki diabeł straszny, jak go malują”.

Oleszko nie mógł się doczekać końca tej „przemowy”. Pierwszy zapisał się do głosu, wstał, popatrzył na Bobińskiego i swych współpracowników leśnych i przemówił:

— Towarzysze i obywatele! — Chciałbym tu przede wszystkim powiedzieć jedną rzecz: nie mamy przed sobą ani dwóch, ani trzech dróg do wyboru. Dla nas istnieje tylko jedna droga: droga do socjalizmu! Kto myśli inaczej, ten patrzy tam, gdzie rządzi faszyzm, a myśmy już widzieli faszyzm i „cru-gi raz go widzieć nie chcemy! Nasza droga, to socjalizm, a socjalizm, to przebudowa gospodarstwa, to gospodarka kolektywna. I nigdy się nie zgoaze na to, co powiedział tow. Gradek, że spółdzielnia produkcyjna, to nie taki diabeł straszny, jak go malują, bo to znaczy, że jednak diabeł i jednak straszny (w kilku miejscach sali rozległ się śmiech).

Tak można powiedzieć tylko o gospodarce prywatnej, bo sami widzimy tu we wsi, do czego takie gospodarki prowadzą. Mamy takich gospodarzy, co siedzą jak psy na kopcach siana, sami tego siana nie jedzą i na krowy warczą (czyż głos pod ścianą: „Do rzeczy, do rzeczy!”). O takich gospodarzach można powiedzieć, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Ale my rozumujemy, tow. Gradka. Jeżeli tow. wczoraj wieczór nasłuchał się radia londyńskiego (— głos pod ścianą: „Nie twoja sprawa! wołaj i tobie!”), wśród robotników leśnych pskanie i głos Bobińskiego: „Cicho tam! nie przerywać mu! i nagadał się na ten temat ze swoimi przyjaciółmi, to pewnie, że mu dziś głupio wystąpić tu przed nimi i nagle zrobić się aktywistą partyjnym. Jeżeli wam sprawa spółdzielności nie leży na sercu, toście nie powinni w tej sprawie zabierać głosu. I nie myślcie, że my też od razu przystąpimy do zakładania spółdzielni. Mamy czas.

Zaczekamy aż wszystkie maszyny będą w ośrodku i budynki stajenne wyremontowane. A po drugiej, nie myślcie, że was od razu przyjmujemy do zespołu (głos Gajusa: „Albo my ciebie!” — i głos Bobińskiego: „Nie przerywać, dobrze gada!”) i damy wam w ręce odpowiedzialną robotę. Nie! bo by przedko zespół diabli wzięli. Spółdzielnia produkcyjna składa się przede wszystkim z ludzi a potem dopiero z ziemi, bydła i maszyn — i zanim przystąpimy do zakładania spółdzielni, musimy się dobrze zastanowić jakich współpracowników sobie dobrać! I mówię tu otwarcie, że pierwszy będę przeciwko założeniu spółdzielni, jeżeli się będą pchał do niej tacy ludzie, jak pan Gajus i Kobryński!”

Skończył a wokół niego zerwał się huragan oklasków.

Oleszko wyszedł w otoczeniu swych towarzyszy, którzy podobnie jak on, zdawali sobie sprawę, że walka klasowa, jaka rozgorzała w Guranowie, nie jest łatwa. Ale przecież jest nas tu spora gromada — zakończył rozglądając się po ludziach otaczających go zewsząd. HENRYK WORCELL

Zdrowie człowieka jest jak las — mówi Stanisław Breszko, patrząc na ciemniejącą w zmierzchu ścianę świetokrzyskiego boru.

— Dlaczego, Breszko?

— III, człowieku, 55 lat już po puszczy. Znam ją. A reumatyzm mam też 55 lat. Przebrzydła choroba. Człowiek do ginącego drzewa podobny. Pogięty.

Porównania Breszki bywają niecodzienne. Niełatwe. Zdrowie człowieka doprawdy do lasu można przyrównać. Na pozór ładny, szumiący, daje cień w skwarne lipcowe dni. A co się od środka niewidocznie dla miejskiego oka psuje. Spojrzysz, za bardzo wyżywiłowali i ginie drzewostan. Zwierzeta wybili — las na tym cierpi. Iglaste wyrabano na opał — liściaste chorują. I tak wszystko jest w lesie łączy, wiąże w jeden zwarty mechanizm przyrody. Jak ludzkie zdrowie.

— Reumatyzm — ciągnie Breszko, mocując się z ogromnym butem — choroba fałszywa, jak kłusownik, jak złodziej leśny. Nie widzisz, nie czujesz, aż nagle leżysz i boli, cholera, wszędzie. Nogi i ręce i serce. Kornik taki ludzki — reumatyzm.

Las leczymy. Zniszczone przez okupanta hektary zadrzewionej nawierzchni zalesia się dziś intensywnie. Wstrzymano wyręb w lasach wokół Suchedniowa Kieleckiego. Surowe kary grożą złodziejom drewna. Cicho jest w lasach okolicznych, jak w pokoju ciężko chorego człowieka. Kłną prywatni właściciele tartaków, ale lasy powoli odżywa, nabiera sił, odrasta. Do zdrowiejącego lasu wraca zwierzęta.

— Prędzej — mówi Breszko — las będzie zdrow, niż ja mój reumatyzm wyleczę.

I patrzy z żalem w stronę osady Suchedniów, zapalającej światła, migające teraz w dole pod krukowską górą, jak setki tysięcy światełek.

— Powinnście, Breszko, poważnie się zabrać do leczenia. Przecież wam całkiem nogi powyginą.

— Ee, moja choroba to nic, towarzyszu. W gminie 14 tysięcy ludzi. A wiecie — 14 tysięcy ludzi, to 28 tysięcy chorób. Każdy przecie coś tam nosi. Jeden bolące gardło, a drugi bolące serce. Małe i duże sprawy, ale ludzkie. A z leczenia, to widzicie tak...

KAZIMIERZ DĘBNICKI

W I E K XX

(WYRÓŻNIONA PRACA KONKURSOWA)

miecka, komisaryczna) zapowiadał, że pierwszy kładzie się w szpitalu, na co mu leśniczy któryś powiedział:

— Tu nie będą Tworki, tu zwykły szpital...

Miejscowi ludzie i wyjątkowo tutaj porządnie pracujący oddział RGO, zgromadzili koce, pościel, poduszki. Było już niemal wszystko. Brakowało pomieszczenia.

A pociągi jechały już na Suchedniów.

Losy wojny pomogły inicjatywie mieszkańców. Spłoszona bliskością radzieckiego frontu grupa niemieckich „Straży Lesnej” — „Forstschutz” zwała wieczorkiem cicho i dyskretnie. Rano, w jesiennym błocie człapały wozy wiozące „urządzenie” szpitalne do opustoszałego domu.

Po południu przyszedł pierwszy transport. Na stacji czekały furgamki, nosze, lekarze, zmobilizowani „ad hoc” sanitariusze i sanitariuszki.

Chorych i rannych było dużo. Więcej, niż miejsc w szpitalu. Przyjechali też szczęśliwie pielęgniarki zawodowe z apteczką i narzędziarką chirurgiczną.

Lekarze szpitalni „zniknęli” po drodze. Musieli ich zastąpić miejscowi.

Tak powstał szpital w Suchedniowie. Działał do lata 1945 roku, lecząc chorych z Warszawy, chorych z gminy, lecząc, dopóki trwała wojna, także partyzantów. Leczono bezpłatnie. Chłopi ze wszystkich gromad, czym kto mógł, wspomagali szpital.

Breszko mawiał wtedy: — My umiemy rządzić. My umiemy organizować. Dla nas socjalizm, to taka żywa rzecz, żywa. Ludzka.

Szpital był dumą Suchedniowa. Dumą organizacji partyjnej, która w nielegalnych warunkach była siłą napędową całej akcji pomocy dla wysiedleńców.

but-gigant w ką, pod piec, kopnął drugi. Spłoszony kot fyrnął w drzwi, miaucząc przeraźliwie. Z sąsiedniej izby dobiegł płacz dziecka. Wnuczek Breszki.

— Tak — powiada Breszko — tak jest. Sprawa ludzka; od ludzi trzeba zacząć. Większej izby porodowej na razie być nie może; szpitala zamiast ośrodka nie zbudujemy. Zresztą i ośrodek i Izba swoje robią. Nie można się skarżyć. A ludzie chorują i często opiekę lekarską brak. Mój pierwszy wnuczek umarł. Zabki mu rosły za wcześnie. Rozwaliły czaszkę. Do miasta daleko, nim dojedziesz... Zresztą nie nie ubezpieczeni. A lekarz drogi. Tu na wsi lekarz zerwany, nie da rady wszędzie być, nie da rady chorego dobrze obejrzeć, no i w tym wszystkim nie zawsze rozpoznają. Pomyli się. Zmęczony. Może i nie fachowiec od takiej choroby.

Zmęczony się Breszko mówieniem. Szuka wątku. Znalazł. Sprawa stoi tak: Suchedniów potrzebuje lekarzy. Potrzebuje ich na stałe, by mógł wydajnie pracować Ośrodek i Izba Porodowa, by odczytać tych dwóch, którzy się rozzerwać nie mogą. W planie 6-letnim w Suchedniowie stanie na nowo zdewastowana przez Niemców fabryka maszyn i narzędzi rolniczych, rozwinię swą produkcję fabryka raczyn kwasodopornych „Marywil”, ruszą wielkie tartaki. Problem zdrowia ludzkiego stanie z całą wyrazistością. Już nie tylko złapała jesienią grypa, nie boląca ścina, nawet nie gruźlica, ale cały wachlarz zagadnień zdrowotnych, związanych z pracą zawodową — będzie się domagać lekarskiej interwencji.

Dziś już Ośrodek, Izba i ambulatorium w „Marywilu” stanowią dużą i odpowiedzialną robotę. Na dwa lekarzy Suchedniowskich. Dziś już setki pracowników skarszyskich warsztatów kolejowych i wytwórni, mieszkający w Suchedniowie, muszą korzystać z opieki lekarskiej tu na miejscu w ramach Bezpieczalni Spłecznej.

A przecież chorują i inni, ci nieubezpieczeni.

— Zatem — konkluduje Breszko — potrzebujemy lekarzy. Na tym dyskusję tego dnia zakończono. Na dworze brat leżał (Dokończenie na stronie 3)

(Dokończenie ze strony 2-giej)

mród. Padał rzadki, wczesny śnieg. Bieszko, przewracając się na łóżku wykiwał reumatyzm i zamiast „dobranoc” — rzucił:

— Jutro pójdę do Ośrodka.

Ale rankiem trzeba było najpierw zająć się cielakiem. Był to dziwny cielak. Może zresztą nie on dziwny, a krowa. Ocielila się w nieodpowiednim momencie. Nie można powiedzieć, cielak — zwierzę był przyjemny, łagodny i jakby wystraszony swoją sytuacją. Bieszko bardzo go polubił. Martwił się tylko, że bydłako coś cherlało. Tego ranka postanowił:

— Będzie w chałupie. Trudno. XX wiek, ale cielak choruje. Delikatny. Ciepła mu brak.

Okropnie się domownicy rozżalili:

— Sąsiedzi będą się śmiać. Ojciec o postępie gada, a zwierzę do domu bierze. Brud. Robactwo naniesie.

Wszystko to była prawda, ale Bieszko zadecydował:

— Jakbyśmy mieli spółdzielnię rolną, takie, jak się to mówi, moderne urządzenie, to co innego, ale jak w oborze zimno, trzeba się na chwilę cofnąć do dawniejszych lat. Na cniwie, mówię, bo mój zdrowy cielak, to później wspólna, spółdzielcza, zdrowa krowa. To też majątek.

— Ojciec tak zawsze dziwnie wymydrzy sprawę.

A Bieszko spokojnie:

— Dialektyka. Ot, co — i uśmiechnął się sam do siebie.

Poszliśmy do ośrodka.

Ośrodek ładny, czysty. Bliższy się. Ludzi dużo.

— Coz to, Bieszko — skreca was? — pyta stara Dulebina.

— Wy niby jak, prosici? — przyjrzał się Bieszko kobiecie spod okna. Nie powiem — dorzucił — dobra za was kobieta i im więcej lat, tym ładniejsza. Jeszcze z 10, a oświadcę się wam.

— Jak już was na amen pokręci... — chciała się odciąć.

— No! Pewnie. Teraz to mi jeszcze żona potrzebna, a za ten czas nianki będę chciał. Teraz wiecie?

Ludzie roześmieli się. Każdy wiedział, że nie lubili się oboje. Dulebina, bogata gospodyni, hen, gdzieś za lasu, gdzie ziemia lepsza, coś tam, widać, z Bieszką sadaria.

— Stara cholera, mruknął, kiedy weszła do lekarza; bogata juha. Ziemia pszenna, parobki pracują, córka sklep założyła; jeden syn w Anglii, drugi w kryminale za handel nielegalny, a ona do lekarza bezpłatnie, do Ośrodka.

Dulebina lubiła widać nie tylko bezpłatnie, ale i długo. Zza drzwi gabinetu dochodził już niecierpliw glos lekarza.

— Mówię wam, nie wam nie jest. Co, w dołku gniecie, powiadacie? Skapstwo was gniecie...

— Kiedy mówię wam, zem się wczoraj ledwo do domu dowlokła, tak gnoli.

— Jecie za dużo. Chłopakom, co u was robią, nie dajecie co do gęby włożyć, a sama coraz grubsza.

Trwało tak dość długo, aż Bieszko poniosło. Wstał. Otworzył drzwi lekarskiego pokoju.

— A nie możecie to do doktora prywatnie? Już za to, co parobkom płacicie, starczy na lekarza. Nie wstyd wam? Biedni ludzie czekają, a wy głowę zawracacie. I czym? Waszym dołkiem.

Znowu poszedł śmiech po ludziach. Ale pomogło. Wysza. Już na wóz w dwa dorodne konie zaprzężony siadała, gdy coś ją tknęło. Wsadziła głowę w drzwi:

— Wy, Bieszko, lepiej waszych kości pilnujcie, żeby wam reumatyzm nie poskręcał, a nie mojego dołka. Komisarzem od polityki bądźcie sobie w chałupie. Nie ze mną.

Roześmiał się Bieszko.

— Jurna kulaczka. Pyskata. I tak jej nie pomoże.

Ludzie pokiwali głowami zgodnie. Któryś wzięł stronę Dulebiny:

— Pewnie spółdzielnię rolną nakazicie robić. Dlatego tak na Dulebinę zezem zerkacie, Bieszko?

— Spółdzielnię? — Bieszko iypnął wyklabymy, niebieskim oczami — spółdzielnię, mówicie? Ani ja, ani nikt nie nakaze. Sami ludzie robią, ale wtedy nie będziecie człowiekowi za wasz miód tyle groza z ludzi drzeć, ani grosz odliczać, nie użyć. Za ćwierć ezklaniki — policzył.

Ludzie roześmieli się ponownie. Każdy wiedział przecież, że tamten bogacz. Niby nie, że ziemi ma wiele, ale i handel prowadzi, miód produkuje i co pszczoła wyrobi — on sprzedaje. Za drogie pieniądze. Jak trzeba było na lekarstwo za Niemca, to choć biedak przychodził, nie użyć. Za ćwierć ezklaniki — policzył.

Nie głupi przy tym, dobry gospodarz, to i do komisji kontwagentowej go brali za okupacji i zawsze tak wycelował, że siebie ochronił, a innym, biedniejszym, ssmiennie, naukowo, jak powiada Bieszko, — wyliczył.

No, a że tak naukowo wylicza, więc i teraz jest w tej i innej gromadzkiej komisji, tylko że już koło niego wzbiera szum. Niezadowolenie.

Bieszko, patrząc niecierpliwie w drzwi gabinetu lekarskiego, rzucił mi po cichu do ucha:

— Sprytny on. Ziemi nie ma za dużo, ale handlarz, bogacz.

Sam interesy robi, a inni ziemię dla niego orzą, nawożą, zboże zbierają. Ale powiedzcie mu — kulak. Obraża się. Gdzieżby? Sześć hekta-

rów ma tylko... Sprytny. Po komi-sjach chciał rządzić. No, teraz będzie z tym koniec. Dosyć.

— No, dosyć tego czekania! — woła od progu lekarz. Kiwa na Bieszka, żeby szedł na zastrzyk.

— Ludzi nam brak. Lekarzy — mruczy nad strzykawką stary doktor.

— Będziecie gadać, gadać i igłę krzywo wbijecie — niespokojnie zauważa Bieszko.

— A co, może nie brak? — roz-indyca się lekarz.

— Brak. Pewnie. Uważajcie na igłę — mityguje Bieszko.

Ale do zastrzyku nie doszło, choć wszystko już było gotowe, a nawet Bieszko wciągnął na twarz cytrynowe skrzywienie, świadczące o psychicznej gotowości na ukłucie.

Wleciała dziewczynka, goniona zgorznowionym szmerem głosów czekających ludzi.

— Pani doktorze, siostra woła. W izbie dwie naraz rodzą.

Doktor, jak stał, skoczył w drzwi. Jeszcze tylko zdążył wrzasnąć:

— Siedemdziesiąt lat mam! Lekarzy brak, cholera!

I zniknął, a Bieszko powiedział: — Ciężka sprawa — i spuścił za-winięty do gory rękaw.

Ludzie czekali cierpliwie. Wy-szedł tylko ów bogacz, mrużąc obrażonym tonem:

— Człowiek pracuje, a jak choro-ba, lekarza nie ma. Demokracja, widzicie ją...

Odpowiedział mu wrogie mil-czenie, zlewające się z mrokiem, ogarniającym izbę.

Kiedy lekarz wrócił, powiedział krótko:

— Dwie matki, troje dzieci. W izbie jakby pojaśniało.

— Zapalcie światło — dorzucił doktor.

*

Wyszliśmy z Ośrodka wieczorem. Bieszko syczał, że mu igła krzywo weszła, posypawał trochę, że czas zmitrząży, ale wreszcie powiedział:

— No cóż, ludzi załatwiono; ale tak długo ciągnąć rady nie da. Trzeba więcej lekarzy.

*

Kiedy wokół cielaka, odgródnzonego od kuchni drewnianą ścianką, rozsiadli się leśniczy Cioroch, stary cwaniak świtek i młody technik, jego bratanek, kupiecka głowa Sylwester Wikło i jeszcze kilku.

— Bieszko stwierdził:

— Suchedniów musi dostać co najmniej jednego młodego lekarza na stałe i albo dodatkowo lekarzy na sezon letni, jak dzieci przyjeżdżają na kolonię, albo obóz studencki — medyków.

— Dobrze wam mówić — musi, co najmniej... A znajdziecie ich. Czy to doktor do urzędu nie pisał? — roześmiał się niewiernie Cioroch.

— Najpierw przestań przytykać cielaka w ucho, oburzył się Bieszko, zwierzę delikatne, chore, nie denerwuj. A teraz ci powiem.

— Po pierwsze lekarze będą, bo władze ich z większych miast przesiedlają. Po drugie — jak list doktoru nie pomogł, napiszemy drugi i trzeci, sami pojedziemy. Do Ministra Zdrowia, do samego Minca, że nam tu przemysł robia, życie znaczy się, a lekarzy brak...

Teraz atakowali go chóralnie, że ci przesiedleni, to mięjszy kanciarze, spekulanci chorób, że wieś zdeprawują, skórę z ludzi ściągają.

Na to wszystko Bieszko, kiwając głową, mówił:

— Głupsi. Ściągną z tych, co mają, a z biednych? No, my ich nauczymy nie ściągac. My już tego wielu nauczyli. I ich nauczymy. Nie nadsa się — przegonimy. Musi przyjść drugi, lepszy. Trzeba siebie samego cenić, swoją siłę.

Przypomnieli mu więc, że lekarz tutejszy pisał kilkakrotnie do władz, prosząc o przydzielenie lekarzy, względnie młodych medyków na okres letni, kiedy w Suchedniowie przebywa parę tysięcy dzieci (w tym dzieci polskie z zagranicy) na kolonjach. Odpowiedź była negatywna.

— Pisali, że młodzi studenci nauczą się forszę brać za leczenie; że demoralizacja, rozumiecie, taka historia! — referował Cioroch.

— Biurokrata pisał — autorytatywnie stwierdził Bieszko, biurokrata. Nas nie zna; sprawę nie zna. U nas nikt się nie zdemoralizuje, u nas się najwięcej nauczuje. Ludzi pozna, choroby ludzkie pozna, pracę ciężką. A i sam odetchnie. Powietrze dobre; mówią, że tu uzdrowisko będzie.

Jeszcze mu coś powiedzieli, a Bieszko wtedy już zły naprawdę, nogą tupnął, aż cielak skoczył przerażony na cztery nogi i wbił spojrzanie wilgotnych, aksamitnych oczu w ludzi.

— Głupsi — mówię — biurokraty pisały, bez znajomości sprawy. Nie chcieli lekarza — trudno; nie chcieli medyka — trudno, ale obóz studencki na lato przysłać mogli i mogą. Zwykłe biurokraty...

— Ale my poradzimy, my partyjni.

Bieszko się zasapał, zmęczył, poglądził cielaka po ciężkim tbie.

Z okien widać było elektryczne światła innych domów.

Sylwester Wikło powiedział ni-by do siebie:

— Mam pomysł z tymi latarniami na Kruku, można będzie założyć. Całą noc będzie widno. Lekarzom też się przyda. W samym Suchedniowie takich nie będą mieli.

A Bieszko z uśmiechem:

— Słowo daję, XX wiek!

KAZIMIERZ DĘBNICKI

KONKURS NA „REPORTAŻ O WSI”

Głosy członków Jury

Stefan Atlas

Godność „jurora“ w licznych organizowanych w ostatnich latach konkursach stawata się coraz bardziej wątpliwym zaszczytem. Szacowne nazwiska, obiecujące tytuły, poprawna, okrągła forma stylizyczna pierwszych zdań, a potem... pustka, nuda, przeraźliwa i kłopot, co z tym zrobić, jak zakwalifikować, kogo nagrodzić? Niemal wszystkie komunikaty sądów konkursowych zaczynały się od słów: „Jury postanowiło nie przyznać pierwszeństwa nagrody”.

Przerazenie ogarnęło mnie, kiedy z redakcji „Wsi“ przyniesiono sporą teczkę prac nadesłanych na konkurs i zaproszenie do „jury”. Nowa nuda! Zapewne stek koturnowych komuniów o wsi napisanych przez ludzi, którzy sądzili o wiejskich problemach na podstawie do-rzecznych wycieczek do Wilanowa.

Tekturowa tezka, koloru zgniętej zieleni, zniechęcała do otworzenia. Trudno, trzeba się przemoc. Termin pojedzenia zbliża się. Pierwszy reportaży „Ludzie z Przypisow-ki” i pierwsze rozczarowanie. Zle powiedziane. Pierwsze ośmienie. Od dawna, od bardzo dawna nie czytałem niczego tak „jednym tchem”, jak tego właśnie raportu. Od pierwszego zdania do ostatniego. Miałem przed oczyma prawdziwą dzisiejszą wieś, widziałem jej ludzi i ich sprawy.

Natychmiast rozpoczęłem lekturę drugiego raportu „Rewolucja w Guranowie”. Rzecz działa się na

wsi, a mnie się zdawało że to dokonuje się rewolucja w polskim piśarstwie. To już nie był tylko reportaży o wsi, to była epopea dzisiejszości. Gorący kawał życia, wyrwany z żywego organizmu. A forma? Forma też nowa. Odkrywca, niewyświechtana, niewyszukana — a prosta w tej chropowatości arcy-artystyczna. Człowiek, który to napisał żył problemem, był w nim, walczył, ponosił porażki i zwyciężał, trwał w walce, nie ustawał... Tak pisawali tylko wielcy radzieccy artyści frontowi, skromnie nazywający się „korespondentami”, którzy pisząc o walce, byli żołnierza-mi.

„Rewolucję w Guranowie“ mógł napisać tylko jej uczestnik. W tym tkwi siła przekonania i artystyczna doskonałość utworu. Wiesz na Ziemiach Odzyskanych. Osadnicy. Ludzie z różnych stron, różnych zapatrywań, różny skład społeczny. Na Ziemię Odzyskaną szedł repa-riant, szedł bezrolny nędzarz z Małopolski, wytrwały, przyzwyczajony na piaskach do twardej pracy chłop z Kielecczyny, ale szedł też młodziej-szabrownik, wydziedziczony obszarnik, szedł bandyta, które-mu „bezpieczeństwo“ następowało już na pięty, szedł chłopski filozof, kombinator, kulacki pomiot zakłádający sklepiki i karczmy, obejmujący młyny i stawy, folwarczne resztówki i małe fabryczki. Niedarmo przecież Mikołajczyk był wówczas ministrem rolnictwa, nie-

darmo w Ministerstwie Ziem Odzyskanych zasiadali Czajkowsky obok Dubieli. „Kombinatorzy“ umieli się „urządzić“, umieli zdobyć sobie najlepsze gospodarstwa i inwen-tarz a nie rzadko umieli zapisać się do partii, aby w ten sposób wziąć biedaka na nowo „za mordę“. Kulak lał wędzide. On był, jak pisze Henryk Worcell autor „Rewolucji w Guranowie“, i przewodniczącym w Spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej“ i komendantem Ochotniczej Straży Pożarnej i prezesem Związku Uczestników Walk o Niepodległość i Demokrację. Kulak, wróg. Kulak, podpalacz. Kulak, bandyta. Walka nie jest prowadzona w rekawiczkach. Ta walka nie jest łatwa. Kulak ma brata „ustosunkowanego“ w powiatowym miasteczku, ma kuzyna w województwie. Na wsi ma sprzymierzenica w „zaczyn“ proboszcza, w ciemności dewotek, w zacofaniu ana-lfabetów, w uporze starych. Wro-gieni kulaka jest prasa, książka, uświadomiony matorośny. Ku-lak umie bić się o swoje, ma ostre zęby i duże doświadczenie. Tam gdzie nie może wystąpić otwarcie działa podstępem. Jego broń to paszkwil, fałszywy donos, w osta-teczności siraż za węgla. Walka trwa. Henryk Worcell, pisarz-chłop, który przed wojną zachwy-cił snobistycznych bywałców ele-ganckich restauracji swymi „Zaklęty mi rewirami“ osiadł po wojnie na wsi, na Ziemiach Odzyskanych, wziął osadę i sam gospodarzył. Wrót w wieś, właściwie powrócił

do niej, ten chłopski syn z pod Tarnowa. Worcell ma mentalność chłopa, doświadczenie działacza i talent żywiołowy artysty. Powró-t na wieś dopomógł mu do odnalezienia siebie-człowieka i siebie-pisarza. Aby napisać „Rewolucję w Guranowie“ potrzebował Worcell pięciu lat twardej pracy, walki z oporną ziemią i kutakami otocze-niem. Dżis pisarze wyjeżdżają na wieś na trzy miesiące. To bardzo mało. Piszę o Worcellu, który zdobył pierwszą nagrodę, a właściwie należałoby napisać o wszystkich pra-cach. Drugą nagrodę przyznano Włocławstwowi Machejkowi za re-por-taż „Socjalistyczna gospodarka P. G. R.-u“. Machejk dał epos o hodowcy świni. Sosnowski, stary fernal, piastujący świnię w P. G. R. może służyć za wzór pozytywnego bohatera, którego tak długo, na-próżno szuka nasza powojenna lite-ratura.

Sosnowskich są setki, tysiące. Ludzie, którzy czują się gospodarzami w Ludowej Polsce. Zobaczy-ich i odkryć barzo łatwo. Wystar-czy zdjąć czarne okulary wczoraj-szego ania. Wystarczy umieć chę-dzić po prawdziwej ziemi. Te umiejętności, tak trudną dla burżu-azji, posiadał Worcell, Machejk i inni laureaci, których wychowanie, walka, praca, zespoliły z prawdziwym życiem.

Mamy prawo optymistycznie pa-trzeć z jutro polskiej literatury. Jeśli pisarze naprawdę zaangażują się w nowe życie, ono samo wskaze im temat i bohatera. Artysta da tylko pieśń.

Stanisław Wygodzki

Znam tylko ten materiał, który — zdaniem redakcji zastąpił na baczniejsze poznamie i wyznam, że materiał ten zafropował mnie, zachwycił. Po raz pierwszy zetkną-łem się z materiałem opracowanym przez ludzi, znających dokładnie opisywany przedmiot, jednakże przy ujawnianiu tej znajomości ukazało się klasowe oblicze piszą-cy. Jedną z prac w sposób bardzo kunsztowny przemycata ideologię wroga i wyznaje, że na skutek bar-dzo umiejętnej artystycznej obróbki, nie od razu unucyłem istotny sens zawartej w tej pracy ideologu.

Potrzebna była dopiero, w czasie posiedzenia jury, dyskusja, która wyjaśniła mi gdzie tkwiło źródło zła. W innych pracach, między innymi, w tych nagrodzonych auto-rzy pokazały walkę klasową na wsi w całej jej ostrości i złożoności jak również w różnorodności jej prze-biegu. Pod tym względem posie-dzenie jury oraz dyskusja dały mi bardzo wiele, mianowicie to, że wszelkie uogólnienia muszą pro-wadzić do błędów, politycznych w pierwszych rzędzie. Na przykład rola kobiet ukazana została w spo-sób różny i dyskusja pozwoliła mi zrozumieć, że powszechne twier-dzenie o tym, jakoby kobiety sta-nowiły element bardziej zacofany,

jest nieuczynne. Lektura nadesła-nych prac ujawniła, że w różnych ośrodkach kobiecy różnie reagują na zmiany dokonywujące się w naszym kraju, w szczególności zaś na wsi. To one właśnie, bardzo często stają na czele ruchu, który prowa-dzi na wsi do zmian, bowiem prze-budowa ta w sposób widoczny i po-wiedziatym szybko zmienia potę-żenie kobiecy grupujące.

Jako pisarza zainteresowały mnie problemy, które — zdawałoby się — z charakteru swego, nie mogą stanowić przedmiotu zainteresowa-nia pisarza i tu spotkały mnie liczne rozczarowania. Nie ma takiego za-gadnienia, które w starciu między starym a nowym nie wyrastałoby na miarę bardzo istotnego i bar-dzo ważnego problemu. Materiały konkursowe pokazały gdzie się mieści konflikt, nowy a często i stary, ale nowy przez to, że dopiero w od-mienionych warunkach politycz-nych i społecznych, konflikt ten zo-stał dostrzeżony i umiejscowiony na właściwej płaszczyźnie. Najcen-niejsze — dla mnie — były w tych pracach te, które ukazywały ludzi występujących, jako świadomych twórców swojego socjalistycznego losu: ludziom tym nieustępliwie to-warzyszy świadomość, że są gos-podarzami kraju i współtwórcami no-

wego życia. Niektórzy autorzy wy-kazali właściwe zrozumienie roli Partii w przebudowie wsi. O Partii mówią: „myśmy zawierzili Partii“, albo „Partia wzięła nas w kupa“ — oto dwie strony tego same-go zagadnienia — biedota wierzy Partii, biedota czuje swą siłę, bo Partia jest jej Partią. Wiara w siłę Partii, w słuszność jej drogi wy-nika stąd, że ludzie widzą ją w dzia-łaniu, w akcji a jeśli coś nie dopi-sze, w Partii gdzie uderzyć i pyta-ją: a czy Partia o tym wie? I słusznie: jeśli coś nie dopisuje to tyl-ko dlatego, że się nie czuło kierow-nictwa, czujności Partii.

W kilku pracach obraz walki klasowej jest przeraźliwie jasny, ukazano sprzężony mechanizm spo-łeczny, klasowego i walka ta się toczy o wszystko, nawet o rzeczy tak pozornie nikłe, jak kartofle dla świni: jest ktoś komu zależy, aby pokarm dla nierogacizny był nie-odpowiedni, ale jest również ktoś, kto chwyta szkodnika na gorącym uczynku i dopiero wtedy rozumie-my, że w toczącej się walce nie ma rzeczy mniej ważnych i więcej wa-żnych. Pod pozorem blahiej sprawy wróg usiłuje dokonać wyłomu, po to, aby wyłom się stał szerszy, groźny.

Ale mam i pewne zarzuty pod adresem autorów: opisywane ośrodki, czy gospodarstwa są zupełnie wyeliminowane spośród ota-czają-

wego terenu. Opisowana więc wy-gładka jak wyspa posród szerokiach morza, które uniemożliwiają dostęp obcom. Jest coś groźnego w tym niedostrzeganiu najbliższego nawet otoczenia, ludzi spoza najbliższej między i sąsiedniej zagrody. W wy-niku takiego spojrzenia, autorzy nie dostrzegali zupełnie ruchu łącz-ności między miastem a wsią, nie ukazano w żadnym z tych literac-ko pierwszych opowiadań, czy repor-tażów proletariatu fabrycznego, robotników doświadczonych i zahartowanych w boju klasowym. Maszyna się zjawia na wsi, jak coś co jest jasne i zrozumiałe: poza maszyną nie widać jej twórcy, nie widać jego walki. I jeszcze jeden zarzut: w omawianych pracach nie pokazano zupełnie młodzieży, a nie ma przecież w kraju takiej wsi na której by nie było junaka, który ukończył swój turnus w brigadzie SP, ani takiej na której byśmy nie spotkali młodego człowieka, który pełnił służbę w oddziale armii naszej. Jacy są ci ludzie? Jakimi byli i jakimi są obecnie? Co sobą reprezentują, czego się nauczyli i jak przenoszą swoje doświadcze-nia na wieś?

Artystycznie nagrodzone prace — moim zdaniem — stoją na bardzo wysokim poziomie, jest w nich pa-sja, żarliwość ludzi zaangażowa-nych w walce o której wiedzą, że się musi skończyć zwycięstwem.

Wanda Markowska

Cenna inicjatywa redakcji cza-sopisma „Wies“ — ogłoszenie konkursu na reportaży o wsi — przyniosła plon w postaci 228 prac nadesłanych na konkurs.

Jako członek jury miałam możność zapoznać się z 8 pracami wyróżnio-nymi przez samą redakcję.

Wszystkie te reportaże mają wspólny ambitywny cel: uchwycić „na gorąco“ walkę klasową na wsi, pokazać nowego człowieka, budowniczego socjalizmu, człowieka do sedna proble-mów, nurtujących w polską, pokatę jak rewolucja społeczna zamu-nię się w psychice ludzi, jak ludzie w procesie tworzenia nowego życia rosną, jak w walce klasowej, w pro-cesie różnicowania się klasowego wies-polska się zmienia, jak oczyszcza się zdrowe ziarno od kulackich plew.

Rola partii i klasy robotniczej w przekształcaniu oblicza wsi, proble-matyka rolniczej wsi, spółdzielczey, praca PGR-ów, rola Sam. Chłopskiej, wszystkie te problemy poruszają nadesłane na konkurs reportaże.

Wyłania się po ich przeczytaniu obraz nowej wsi, budzącej się po wie-kowym upływie do życia, obraz jak-że niepodobny do zatrzymanej poza czasem — wsi ukazywanej nam do-

tyąd w literaturze. Wies polska staje przed nami, jako kipiący życiem i walką teren ścierania się dwu sił: postępu z zacofaniem, wyższości ze sprzecznością społeczną, nowego ze starym. I zwycięską perspektywę tej walki umieli ukazać nam repor-tażycy w drobnych naporach, ale waż-kich w istocie losach ludzi rewolu-cjonizujących stary układ społeczny.

W obronie nowej wsi polskiej wi-dzimy rewolucyjny aktywność chłop-ską, członków partii, którzy ciągną za sobą wieś, widzący i bezpartyjnych, którzy „zawierzili się partii“ (jak pisze jeden z autorów raportu) i przy jej pomocy budują nowe życie, widzący obok kulaków starających się wszelkimi sposobami hamować rozwój wsi do socjalizmu, elementy chwiejne, średniaków wahających się jeszcze, ale już potęgających osią-gnięciami ośrodków socjalistycznej gos-podarki na wsi. „Socjalistyczna gos-podarka PGR“ np. to reportaży ma-lujący z dużą dynamiką, a zarazem z prostotą nieposobawioną swoistego humoru gospodarke hodowlaną w Państwu. Majątku Rolnym, który staje się naprawdę ośrodkiem ideolo-gicznego i technicznego promiowa-nia na okoliczną wieś. Aktywiści a

fachowcy PGR-u nie zasklepia się tylko w ramach obowiązków wyko-nywanych w majątku — ale siłują swą radą i doświadczeniem mało i śred-nio-rolnym chłopom w sąsiedztwie.

Za słabo może w tych reportażach wydawniono rolę POM-ów, tych rewolucyjnych ośrodków na wsi, będą-cych konkretną formą i przejawem realnej pomocy klasy robotniczej dla wsi. Nie widzieliśmy też w obronie wsi polskiej przedstawionym w tych re-por-tażach takich form sojuszu robot-niczo-chłopskiego jak akcja łączności fabryk ze wsią po linii kult.-oświate-owej, (co znalazło wyraz w pozosta-łych reportażach).

Oceniając materiał nadesłany na konkurs trzeba podkreślić jedną cha-rakterystyczną cechę: są to doku-menty z dni walki o wieś, toczącej się dziś w naszym kraju, pisane nie przez beznamiętnych stojących na uboczu, obserwatorów, notujących tylko na zimno fakty i zjawiska, ale przez ludzi jasno określających swój stosunek do spraw i rzeczy dzieją-cych się na wsi. Czuje się, że autorzy niejednokrotnie biorą czynny udział w tej walce, że są związani z tere-nem. Ten moment bojowości, partyj-ności (w sensie wyraźnego manife-stowania swego stanowiska wobec now-ej rzeczywistości) stanowi o war-tości materiału konkursowego.

Jeszcze może nie zarosło zwycięsko wychodzą autorzy z walki o wysoki poziom formalny swych utworów, jeszcze dużo tkwi w ich pracach uproszczeń i chropowatości, jeszcze mało widać siły i odwagi, pionier-sko usiłują uchwycić i zamknąć w swych reportażach ten ogrom nowych postępowych treści, pod których na-porem pękają początkowo stare, zaśnie-działe formy życia chłopskiego, ale z pasją starają się odtworzyć rytm przemian przerojujących naszą wieś. I ten rytm czuje się w re-por-tażach. A to już wiele.

I kto wie, może właśnie na tej drodze trudnych, ale twórczych pos-zukowań przez ściśle powiązanie się z masą, z terenem, może właśnie w dobrym, współczesnym reportaży zdoła najszybciej przełamać naszą lite-raturę ów stan izolacji, oddalenia od zjawisk naszej rzeczywistości, jak-że niewątpliwie ją trawi.

Inicjatywa „Wsi“ zbiegła się z dłu-gofalową akcją wstępującą przez Zc. Literatów Polskich i Min. Kultury i Sztuki, zmierzającą do ściślejszego powiązania naszej literatury z ży-wotem, jakim tkwi nasz kraj. W tej wielkiej batalii o nową literaturę re-por-taż nadesłany na konkurs „Wsi“ stanowił mogą pozytywny wkład.

Piotr Greniuk

Rozwijające się coraz bardziej za-interesowaniem literatów przejawami życia robotniczym, czy chłopu, poszu-lujące w ich twórczej pracy nowej tematyki piśarskiej jest w Polsce Lu-dowej wydarzeniem dużej wagi. Tra-ktory orzące pola spółdzielni produk-cyjnej, pierwszy siew zespolowy w gromadzie wiejskiej, pierwsze żniwo gromadnie przeprowadzone, plany gospodarce w rolnictwie, narady produkcyjne, walka o wyższe plony z hektara, o racjonalną hodowlę, o postępi i mechaniczne rolnictwo, re-koordowe plony zbóż i osiągnięcia ho-dowlę w P.G.R., przodownicy pracy w rolnictwie, traktorzyści i brzy-gadziści, socjalistyczne współzawod-nictwo pracy, spółdzielnie, świetlice i biblioteki na wsi, zespolony artystycz-ny i ich osiągnięcia, walka z kapita-lizmem i wysiłkiem na wsi, rekordy sportowych zespolów ludowych i ty-

le tyle innych pięknych i żywych te-matów z odcinka wiejskiego, które rodzi dzisiejsze życie mało i średnio-rolnego chłopu i robotnika rolnego.

Po te tematykę sięga dziś piśarz, sięga poeta. W strofach ich utworów zabrzmi prosty, jasny język ludzi pracy. Zrodzi się w ten sposób w Polsce Ludowej nowa literatura, na którą czekają masy pracujące.

Robotnik, czy chłop walczący z pry-mitywem gospodarczym, z zacofaniem i starymi nawykami, walczący o do-brobyt i kulturę, o lepszą, szczęśli-wą przyszłość szuka w literaturze dla swej pracy podniety, pragnie znaleźć w niej zachętę, cieszy się z poha-wały i utwierdza się w przekonaniu, że praca jego jest celowa i użyteczna.

Zanim do bibliotek wiejskich tra-fią pośadane książki o powyższej tematyce i inne o pracy robotnika w

mieście i w fabryce, jakże ważną rolę spełniają dziś pisma, które choć w drobnej mierze na jaką im pozwa-lają rozmiar, przekazują w ręce czy-telnika drobne utwory literackie, poruszające zagadnienia, o których wy

Marcin Wielgus

WIELKI INTERNACJONALISTA

Studiując biografię Juliana Marchlewskiego stajemy przed drogą życiową działacza, która wyprowadziła go z mieszczańskiego domu kupca zbożowego na szczyty rewolucji.

Urodził się w dn. 27 maja 1866 r. we Włocławku w rodzinie, wywodzącej się z mazurskiej szlachty zagonowej. Oddany do niemieckiej szkoły w Toruniu, przytłoczony obcością środowiska i zimną atmosferą domu niemieckiego opiekuna matki Juliana Ignie do „polskiej czeleści”, a potem we Włocławku do polskich Tłasków na Wiśle. Z ludowych i proletariackich rak odebrał pierwszą lekcję uświadomienia społecznego i patriotyzmu, którą będzie wspominał przez całe życie.

Już w wieku 19 lat wstępuje do

ny i osadzony na Pawlaku w X Pawilonie. Po 11 miesiącach, złożona przez przyjaciół kaucja — otwiera mu bramy wycieczki. Zagrożony zesłaniem na Syberię Marchlewski ucieka za granicę do Szwajcarii. Studiując wydział prawnospołeczny w Zurichu zapoznaje się ze studentami tego samego wydziału Różą Luksemburg i Leonem Jogiches — Tyszką, i razem z nimi zakłada pierwsze polskie pismo socjal-demokratyczne pt. „Sprawa Robotnicza”.

W sierpniu 1893 r. spotykamy Marchlewskiego na Międzynarodowym Kongresie Socjalistycznym w Zurichu.

W 1896 r. jako członek delegacji S. D. K. P. Marchlewski bierze udział w IV Międzynarodowym Kongresie

się prądy rewizjonistyczne kierowane przez Bernsteina i Kautsky'ego lewica partyjna zerwie formalnie z „Neue Zeit” i „Leipziger Volkszeitung” i założy w 1913 r. własne pismo „Sozialdemokratische Korrespondenz”. Marchlewski stanie się jego główną podporą. Bystro dostrzegając klasową treść zjawisk, niezmiernie żywo reagując na każde posunięcie reakcji, Marchlewski wykazywał zawsze niezwykłą czujność rewolucyjną; świadczą o tym jego broszury i praca publicystyczna. Przewidując niebezpieczeństwo wojny imperialistycznej wydaje głośną broszurę „Wojna i Rewolucja” w której demaskuje kulisy wojny i wskazuje, że tylko rewolucja i zwycięstwo socjalizmu na świecie uwolnią świat od przelewu krwi. W związku z nagonką antysemitką publikuje książkę „Antysemitizm i rewolucja”, gdzie wykazuje antyrobotniczy charakter antysemityzmu, wyjaśnia jego sprężyny klasowe, dostrzegając w nim wstęp do ataku na klasę robotniczą.

Za kampanię antymilitarną zostaje w 1914 r. aresztowany pod zarzutem „obrazy pruskiego korpusu oficerskiego”.

Wybucho wojna. Socjaldemokracja niemiecka w parlamencie mimo jednostkowego oporu Karola Liebknechta zdradziła internacjonalizm i klasę robotniczą. Z tym większym poświęceniem organizują się postępowe, rewolucyjne siły robotnicze. Róża Luksemburg, Klara Zetkin, Mehring i Marchlewski tworzą „Związek Spartakusa”. Niestety w maju 1916 r. Marchlewski jako redaktor rewolucyjnych „Listów Spartakusa” i „Die Internationale” zostaje osadzony w więzieniu w Berlinie a potem w obozie koncentracyjnym w Havelbergu. Tam zostaje już towarzyszy broni Karola Liebknechta i Różę.

Za drutami pozostaje Marchlewski aż do 22 maja 1918 r., kiedy na żądanie powstałego w wyniku zwycięskiej Rewolucji Październikowej rządu radzieckiego zostaje uwolniony.

Zaczyna się najpiękniejszy okres życia Marchlewskiego — służba Rewolucji Październikowej. Na wniosek Jakuba Swierdłowa Marchlewski zostaje wybrany do KC Partii. Walczy i na froncie gospodarczym w Zarządzie Przemysłu Włókienniczym i na froncie ideologicznym i w dyplomacji. Na historycznym Manifeście I Kongresu Międzynarodówki Komunistycznej widać podpis Marchlewskiego.

Jednocześnie jako żarliwy patriota skupia polskich rewolucjonistów i skrupulatnie rozważa możliwości rewolucji socjalistycznej w Polsce.

Tymczasem w listopadzie 1918 r. od blasku Rewolucji Październikowej zapłonęły i Niemcy. Wybucho rewolucji. Marchlewski jako delegat WCKW (WCIK) Rad wyjeżdża na zjazd niemieckich Rad Delegatów Robotniczych. Niestety nie dociera do Niemiec. Zatrzymany przez okupacyjne wojska niemieckie tylko dzięki buntowi konwojujących go żoł-

czasowy Komitet Rewolucyjny Polski z Julianem Marchlewskim, Feliksem Dzierżyńskim i Feliksem Konem na czele.

Po wojnie Marchlewski bierze czynny udział w pracach radzieckiego i międzynarodowego ruchu robotniczego. Duże znaczenie ma jego artykuł pt. „Kwestia rolna i rewolucja światowa”. Lenin pisał wtedy: „Tow. Marchlewski dał podstawy rewolucyjnego komunistycznego programu rolnego III Międzynarodówki. Na tych podstawach można (i zdaje mi się trzeba) opracować ogólną rezolucję w kwestii rolnej Kongresu Kominternu mającego się odbyć 15 lipca 1920 r.”

W czerwcu 1922 r. Marchlewski zostaje powołany na stanowisko rektora Komunistycznego Uniwersytetu Narodów Zachodu. Jest członkiem naukowych komisji programowych, rektorem uniwersytetu im. Swierdłowa, członkiem K. W. III Międzynarodówki jako przedstawiciel KPP. Pisze do „Prawdy” i „Izwestii”.

Wielką zasługą Marchlewskiego jest zaprojektowanie w 1922 r. Międzynarodowej Organizacji Pomocy Więzniom Politycznym, która powstaje w 1923 r. Marchlewski jest jej pierwszym przewodniczącym.

Na skutek ciężkiej choroby nerek partia wysłała go na kurację do Włoch, gdzie umiera w miejscowości Nervi 22 marca 1925 r. Urna z popiołami Marchlewskiego spoczęła obok mogił Róży Luksenburg, Leona Tytzi i Karola Liebknechta.

Przez całe życie Marchlewskiego przewijają się trzy zasadnicze wątki, najlepiej charakteryzujące jego postać: konsekwentny patriotyzm, konsekwentny internacjonalizm i nieustraszona rewolucyjność.

W księdze pamiątkowej (na str. 74) wydanej po jego śmierci czytamy: „Marchlewski był międzynarodowym wodzem ruchu robotniczego nie ztracając nigdy swojej polskości. Uderzało to wszystkich jego współpracowników, przewija się to jako stały motyw w wielu wspomnieniach pośmiertnych. Począwszy od zewnętrznego wyglądu jego polskiej twarzy, jego nadzwyczajnej uпрzejmości, aż do głębokiego ukochania ludu polskiego i krajoznawstwa polskiego, gwaru ludowej, wyjątkowej znajomości języka polskiego, literatury polskiej — wszystko cechowało go jako działacza wybitnie polskiego”.

Marchlewski był nieustraszoną w pracy. Mimo, że pochłonięty jest stale praktyczną działalnością ma na swoim dorobku aż 50 pozycji naukowych; wchodzi to dzieła popularne takie jak „O dochodzie”, „Antysemitizm i robotniczo”, „Ekonomia polityczna”, „Socjalizm wojenny w teorii i praktyce”, a również poważne dzieła naukowe jak „Fizjokratyzm w Polsce”, „Stosunki społeczne i ekonomiczne na ziemiach polskich zaboru pruskiego”, „Szkice z historii Polski”.

W „Stosunkach społeczno-ekonomicznych na ziemiach zaboru prus-



Marchlewski z grupą działaczy łódzkich w roku 1891.

Klara Zetkin

Polski przyjaciel niemieckiego proletariatu

Po raz pierwszy spotykamy tow. Marchlewskiego-Karskiego na arenie światowego ruchu robotniczego w 1893 r. na kongresie II Międzynarodówki w Zurichu, na tym pamiętnym kongresie, w którym jeszcze brał udział stary Engels. Marchlewski wraz z Różą Luksemburg żądał uznania i równoprawienia młodej wówczas polskiej organizacji robotniczej, która była zalążkiem przyszłej Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy. Marchlewski i Róża występowali na kongresie Zurichkim pod znakiem walki z Polską Partią Socjalistyczną, przesiąkniętą ideologią burżuazyjnonacjonalistyczną. Broniąc zakwestionowanego przez przeciwników politycznych mandatu Róży, tym samym występował w obronie międzynarodowego marksizmu przeciwko tendencjom mieszczańsko-nacjonalistycznym. Dla większości delegatów istota walki była zupełnie niezrozumiała, tak jak nieznane im były historyczne warunki, które ją zrodziły. Cały ten spór uważano za zwykłe swary emigracyjne. Delegaci i delegatki, którzy namienili występować przeciwko dopuszczeniu Róży na kongres, znani już byli ze swojej poprzedniej działalności, zdobyli już sobie uznanie na terenie międzynarodowym i posiadali osobistych przyjaciół wódrów silnych partii socjalistycznych. Ci zaś młodzi przedstawiciele polskiego marksizmu poza ograniczonym kręgiem emigrantów studentów polskich i rosyjskich byli zupełnie nieznanymi. Jednakże zarówno Róża jak i Julian walczyli o mandat z odwagą i uporem, jaki daje jedynie głębokie przeświadczenie, że walczy się o słuszną sprawę. W walce tej zadawali przeciwnikowi świetne i dobrze wymierzone ciosy.

Ten epizod jest bardzo znamieny dla charakterystyki obaj. Jako szermierze rewolucyjnego marksizmu występowali oni w pierwszych szeregach lewicy przeciwko reformistycznemu zabagnieniu i skażeniu podstaw marksizmu, bez wahania zerwali z II Międzynarodówką i najostreż ją piętnowali, gdy w okresie wojny światowej II Międzynarodówka ostatecznie zdradziła teorię i praktykę rewolucyjnego proletariatu. W tej walce o zasady partyjne Julian Marchlewski był ściśle związany braterstwem broni z Różą, aż do chwili jej zamordowania i wyrwania z czołowych szeregów walczącego proletariatu.

Z Marchlewskim zapoznała mnie Róża w okresie, kiedy Marchlewski zmuszony do emigracji, osiadł w Niemczech i rozpoczął z ogromnym zapalem walkę o wyzwolenie proletariatu niemieckiego i polskiego.

„Wiesz, co „Julek” — tak nazywali go przyjaciele — zamierza robić dla polskiego ruchu robotniczego? Bedzie on nadal pracował dla kraju. To postanowione. Lecz Julek to przede wszystkim międzynarodowiec. Rozumie się, że i tu będzie nam pomagał w naszej walce z zarządem oportunistycznym i rewizjonistycznym w szeregach partyjnych, związkowych i w masach robotniczych.

Możemy całkowicie polegać na nim. Gdy potrzebna ci będzie pomoc dla „Gleichheit” („Równość”) lub w pracy agitacyjnej, zwróć się do niego. On nas nigdy nie zawiedzie, nigdy nie zaniedba sprawy”.

Wkrótce poznałam się z nim osobiście i od razu zdawało mi się, że znam „Julka” oddawna. Zdołał on choć pełną szacunku przyjaźń i zachował ją w ciągu długich lat naszej wspólnej walki nie tylko przez zgodność naszego zasadniczego i taktycznego stanowiska wobec spornych wówczas kwestii i zadań, lecz również dzięki pięknym cechom charakteru jako człowieka i jako bojownika. Poglądów swych umiał bronić spokojnie i rzeczowo, opanowany i pewny siebie. W potrzebie potrafił zadać przeciwnikowi dobrze wymierzone cios, jednakże bez zbytecznej brutalności. W stosunkach osobistych wykazywał niewyczerpaną dobroć serca. Wszyscy, którzy z nim blisko żyli, którzy go znali, doświadczyli niejednokrotnie jego niepospolitej delikatności i zrozumienia. Róża Luksenburg przepowiedziała prawdę, „Julek” doskonale uzbrojony w wiedzę okazał się jednym z najzdolniejszych i najwinniejszych bojowników lewicy. Niestrudzenie walczą przeciwko rewidowaniu rewolucyjnego marksizmu przez Bernsteina i Daidę oraz ich popleczników. Mobilizował robotników przeciwko oportunistycznej praktyce w szeregach socjaldemokracji i w związkach za-

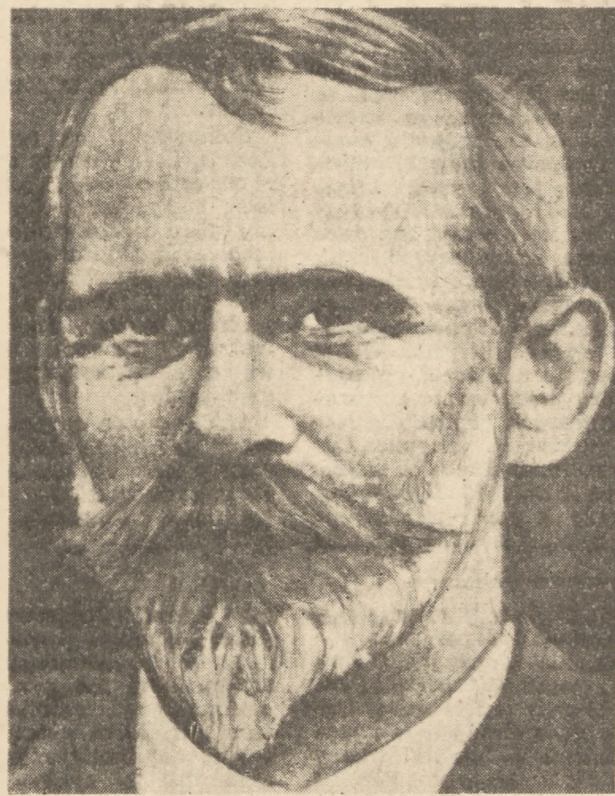
wodowych, używając ich do przeciwdziałania się coraz bardziej groźnemu niebezpieczeństwu imperialistycznemu. Pod nielegalnym pseudonimem „Karskiego” był gorącym i cenionym współpracownikiem lewicowych gazet socjaldemokratycznych, takich jak „Leipziger Volkszeitung” („Lipska gazeta ludowa”), „Droeder Arbeiterzeitung” („Drezdeńska gazeta robotnicza”) i tygodników, jak „Gleichheit” („Równość”) i „Neue Zeit” („Nowy Czas”). Później wydał wraz z Franciszkiem Mehringiem i Różą Luksenburg „Die Sozialdemokratische Korrespondenz” („Socjaldemokratyczna korespondencja”) jego marksistowskie ujmowanie spornych kwestii teoretycznych i praktycznych znajdowało silny odzew wśród szerokiej mas proletariackich. Właśnie dlatego prace jego często były przedrukowywane przez pisma partyjne i związkowe i co więcej, przechodziły z rąk do rąk, wywołując liczne dyskusje. Julian posiadał umiejętność jasnego i treściwego pisania. W okresie burzliwej walki z reformistami, w okresie przedwojennym, Marchlewski należał do rządu wychowawców niemieckiego i międzynarodowego proletariatu w duchu rewolucyjnego marksizmu. Całą swą wartość, swe bezwzględne oddanie rewolucji proletariackiej wykazał on w ciężkiej godzinie historii, kiedy niemiecka socjaldemokracja i II Międzynarodówka zdradziły proletariatu i wydały go na łup imperializmowi. Karski należał do pierwszych i najbardziej zdecydowanych działaczy, którzy drogą legalną i nielegalną wyzywali do akcji protestacyjnej przeciwko tej hańbie, do tych, którzy nie utracili wiary, że masy robotnicze w końcu wystąpią przeciwko imperializmowi. W walce tej stanął na wysokości zadania, i jak to u niego zawsze bywało, walka ta pochłonęła go całkowicie. Nikt ze szczerzego kółka tych jego przyjaciół, którzy pozostali przy życiu, nie zapani jakie znośił kłopoty, niebezpieczeństwa, trudności i przesławiania podczas mroźnej, gorączkowej pracy tego okresu. Zbiór dokumentów wydany przez Ernesta Meyera: „Listy Spartakusa w czasie wojny” zaznajamiają nas z pracą literacką Marchlewskiego z tego okresu. Gdy z czasem „Związek Spartakusa” znajdzie swego obiektywnego i rzeczowego historyka, a mimo błędów i braków „spartakusowskich”, okres ten stanowi chlubną stronę w historii niemieckiego ruchu robotniczego — to imię Juliana Marchlewskiego zająśnie nowym blaskiem.

Aresztowanie „niebezpiecznego buntownika”, dwukrotne internowanie w Havelbergu były oficjalnym zadokumentowaniem jego pracy. Dwa lata więzienia były okresem ciężkiej próby dla rewolucjonisty, któremu działalność rewolucyjna była niezbędna do życia, jak powietrze. To oderwanie od szeregów walczących przyjaciół, dolegalo mu bardziej, niż wszelkie materialne niedostatki obywatela. Zwycięski Czerwony Październik dał mu możliwość wyrwania się z obozu i zrucenia się w wir pracy i walki w Rosji Radzieckiej.

„Śmierć Spartakusowcom!” — wyla w całych Niemczech czerń burżuazyjna pod czułą opieką socjaldemokratycznych zdrajców i gazdoinowiczy prasy — po krwawych dniach grudniowych 1918 roku i po późniejszych walkach styczniowych. „Śmierć Spartakusowcom!” — trzęsły karabiny, „Śmierć Spartakusowcom!” — terkotały monotonicznie kulomioty Nołskiego w ośrodkach przemysłowych, gdy proletariatu ujawnił chęć przemawiania „po rosyjsku”.

W tych czasach Marchlewski przybył nielegalnie do Niemiec i został obdarzony wyjątkowym zaufaniem, jakim tylko może być obdarzony bojownik rewolucyjny. Kierownictwo dopiero powstałej Partii Komunistycznej Niemiec posyła go do Zagłębia Ruhry, gdzie według przeciwdziałania miała wybuchnąć pierwsza burza rewolucyjna. Zadaniem jego było pobudzić do czynu górników, pomóc im w stworzeniu Rad robotniczych i w przeprowadzeniu socjalizacji kopalń. Otoczony szpiclami, śledzony na każdym kroku cudem uszedł śmierci, chociaż zawiast nad nim już wyrok śmierci Nołskiego. Zagrożony ze wspaniałych stron wrócił nielegalnie przez Polskę do Rosji Radzieckiej.

Klara Zetkin.



Julian Marchlewski

organizacji „Proletariat”. Jest to rok 1885. Rok upamiętniony procesem 29 „Proletariackich” z Ludwikiem Waryńskim na czele.

Po ukończeniu szkoły średniej Julian zamiast robić karierę w handlu, urzędzie lub „chocoby” naukową — sprawił całej rodzinie zawód. Zaczął bowiem pracować jako farbierz w fabryce włókienniczej. Była to „próba klasowa”, jakiej poddawali się ówczesni rewolucjoniści, pochodzący ze środowisk nierobotniczych dla ściślejszego związania z klasą robotniczą. Tak przed Marchlewskim postąpił Waryński, tak po Marchlewskim postąpił Dzierżyński.

Feliks Kon pisał na ten temat: „pracując wśród robotników jako farbierz, prowadząc propagandę przy warsztacie, wczuwając się w niedomaganie i potrzeby mas, Marchlewski staje się wkrótce ich duszą i rzecznikiem ich dążeń — wodzem walczących”.

Jednocześnie pracuje Marchlewski w szeregach tzw. II Proletariatu założonego przez Marcina Kasprzaka. W 1888 r. podczas masowych aresztowań członków II Proletariatu policja po raz pierwszy wpada na ślad Marchlewskiego, który uchodził za granicę.

Jako wędrowny czeladnik farbierski przemierza na piechotę wzdłuż i wszerz Prus i Saksonię — zapoznając się z sytuacją ekonomiczną i polityczną proletariatu niemieckiego. Należy do organizatorów I Kongresu II Międzynarodówki zwołanego przez Fryderyka Engelsa w 1889 r. Następnie wraca do kraju i pracuje w fabryce Poznańskiego w Łodzi. Razem z włókienniarzem Henrykiem Wilkoszewskim i ślusarzem Janem Lederem zakłada pierwszą masową organizację marksistowską — Związek Robotników Polskich, opierając się na tradycjach Waryńskiego. Celem zaś zabezpieczenia ekonomicznego robotników na wypadek strajku organizuje specjalne „kasy oporu”.

Kiedy w 1890 r. odbył się pierwszy obchód 1-majowy w Warszawie, Marchlewski był jednym z jego inicjatorów. Wkrótce Marchlewski wraz z Krasuskim organizuje również pierwszy masowy strajk polityczny w Polsce.

Jesienią 1891 r. zostaje aresztowa-

W numerze tygodnika „Wies” z dnia 19 marca 1950 r.

Wyniki konkursu na „reportaż o wsi”. Witold Lukasiewicz — Stanisław Gabriel Worcell na tle epoki. Kajetan Kotowicz — Ludzie z Przypisówki. Jerzy Lau — Gdy rzeki zdobędą pustynię. Władysław Machejek — Socjalistyczna załoga PGR-u. Edmund Nizlurski — Realizm, ale czy socjalistyczny. Zofia Rzeplińska — Niemiecka ulica. Włodzimierz Boruński — Do niemieckich przyjaciół. Helena Bielska — Mihael Eminescu. Waclaw Szumski — Chiny wolne. Andrzej Wera — Świética życiem gromady. Nowiński Marian — W rozmowie ze znajomym. Izabella Ciapalanka — O nowego bibliotekarza. Marian Wilczyński — Pospólna robota. Wgs. — Kronika kulturalna. 21 ilustracji. 8 stron.

Michał Gołody

przełożył EUGENIUSZ ŻYTOMIRSKI

Salut

Jak tęcza wieków lśni nad nami
Zwycięstwa salut. Widzi świat:
Na niebo promień prawdy padł
I nad gwiazdami, epokami
Podażać będzie w komet ślad.
By kiedyś „Takich gwiazd nie znamy”
Rzekł wnik, gdy w grobie będzie dział...
By wnuka, wnuk zawałał rad:
„Słoneczny chwały to odłamek,
Co do nas szedł przez setki lat!”

nierzy unika śmierci. W styczniu 1919 r. wobec zastraszającej się sytuacji w Niemczech telegraficznie zwany przez Różę Luksemburg z narazieniem życia przybywa do Niemiec... na trzeci dzień po zamordowaniu Róży i Karola Liebknechta.

Powołany do KC Komunistycznej Partii Niemiec natychmiast wyjeżdża do Zagłębia Ruhry tworząc rady robotnicze i przeprowadzając nacjonalizację kopalń. Tymczasem reakcyjne wojska Noskego okupują Zagłębie. Śmierć depcze Marchlewskiemu po piętach. Odwołany w ostatniej chwili z posterunku w przebraniu chłopca rosyjskiego — repatrianta poprzez Polskę powraca do Związku Radzieckiego.

Wobec groźby więzienia Polski do frontu kontrrewolucyjnego Marchlewski robi wszystko, by zapobiec przelewowi bratniej krwi. W tym celu zwraca się do rządu polskiego z propozycjami pokojowymi. Oto co pisze na ten temat. „Po porozumieniu się z rządem radzieckim w lipcu, zakomunikowałem mojemu poŹnierzemu powiernikowi Piłsudskiemu (był nim znów p. Wieckowski), że rząd radziecki jest gotów do najdalej idących ustępstw.

Odpowiedź brzmiała: „Do pertraktacji oficjalnych rząd polski przystąpić w danej chwili nie może”. Pan Wieckowski w rozmowach poufnych podkreślał mocno to „w danej chwili” i dostatecznie wyraźnie dał do zrozumienia, że zależność „niezależnej” Polski od Ententy na krok taki nie pozwalała.”

Dalsze spotkania również nie przyniosły rezultatów. Gdy wojna wybuchła, na zajętych terenach polskich Armia Czerwona nie wprowadza żadnych władz okupacyjnych, lecz od razu oddaje władzę w ręce ludu polskiego, na czele którego stanął Tym-

JULIAN B. MARCHLEWSKI

FIZJOKRATYZM W DAWNEJ POLSCE

Teorię fizjokratów można zrozumieć jedynie w związku z ogólnym prądem myśli wieku XVIII. Racjonalistyczna filozofia „prawo natury” — są to źródła myśli fizjokratycznej. Sprowadzić objawy ekonomicznego życia do „ogólnych, wiecznych praw natury”, wyłączyć wszystko, co ludzie wnieśli „nieracjonalnego” do stosunków ekonomicznych, wykryć „podyktowane przez naturę” prawa, mające regulować stosunki pomiędzy ludźmi — oto zadanie pojęte, które następczo się ekonomistom francuskim. Dla umysłów, zajętych takimi poszukiwaniami, musiało powstać przede wszystkim jedno pytanie: skąd biorą się bogactwa, skąd powstają nowe wartości? Odpowiedź zaś na pytanie nie mogła być wątpliwa: ludzie, przejęci uwielbieniem natury, którą zaczęto poznawać na nowo, ludzie, którzy patrzyli na gospodarstwo społeczne Francji ówczesnej, Francji rolniczej, Francji o gospodarstwie w gruncie rzeczy naturalistycznym, odpowiedzieli bez wahania: źródłem bogactwa, źródłem wszelkiej wartości jest przyroda. Pytanie było genialne, odpowiedź była godna XVIII wieku, tego wieku, który na wszystko miał zawsze odpowiedzi trafne, jasne, kateryczne — mniejsza o to, czy wyczerpujące. Zaznaczamy więc, iż samo postawienie kwestii jest zasługą fizjokratów. Adam Smith¹⁾ nie doszedł do takiego pytania, a tym mniej mógł na nie odpowiedzieć. Jego twierdzenie o pracy, jako źródle wartości, jest więcej precyzyjnym instynktownym, które nasuwała obserwacja życia ekonomicznego Anglii, kraju wówczas już na wskroś przemysłowego. Jednak Smith nie przetrwał własnego pomysłu: twierdzenie o pracy, jako źródle i zarazem mierniku wartości, nie zostało wcielone organicznie w teorię ekonomiczną w całej rozciągłości, lecz stało się raz wraz obok teorii, idąc sobie luzem. Dlatego właśnie system Smith'a jest tak niewykończony, tak niekonsekwentny; autor ciągle traci wątek i wikał się we własnych twierdzeniach. Dopiero wielki uczeń Smith'a, Ricardo²⁾, podjął twierdzenie mistrza i z żelazną logiką, nie cofając się przed żadnym następstwem, na zasadzie tego twierdzenia utworzył teorię. Późniejsza, tzw. wulgarna ekonomia, ulekała się tych konsekwencji i poradziła sobie w ten sposób, że na pytanie fizjokratów: skąd powstaje wartość? na pytanie zasadnicze całej ekonomiki — nie odpowiadała wcale.

Z odpowiedzi, jaką znaleźli byli fizjokraci, wynika dla nich cały szereg następstw. Przede wszystkim: skoro natura jest źródłem bogactwa, tam jedynie jest produkcja, gdzie człowiek bezpośrednio styka się z naturą, gdzie ze szczerzej jej ręki odbiera „dary”. Rolnik, górnik, rybak: oto ludzie, odbierający te dary, ludzie produkcyjni. Dieu seul est producteur, powiada Dupont³⁾. Ludzie, zdaniem jego, pracują, zbierają, gromadzą, ale „gospodarzyć nie znaczy jeszcze produkować”. Dlatego ludzie, nie będący w ścisłym związku z naturą, rekodzielnicy, kupcy itd., mogą, przekształcając te dary, przenosząc je z miejsca na miejsce itp., oddawać wielkie, bardzo wielkie usługi społeczeństwu — kładziemy na to nacisk: fizjokraci nigdy nie przeczyli użyteczności i doniosłości tych usług — ale nowej wartości nie są w stanie dostarczyć, bogactwa nie są w stanie przysporzyć. Pracując, muszą niewycofane materiały surowe i środki żywności, i tyle oddają, ile wzięli, dlatego są klasą nieprodukcyjną, „jałową”. Natomiast istnieje jeszcze trzecia klasa ludzi, która nie pracuje, przyczynia jednakże bogactwo przez to, że dostarcza klasie pierwszej środków do produkowania, na coraz szerszą skalę; są to właściciele ziemni czyniący „nakłady” w gospodarstwie rolnym, dzięki którym jest ono wydajniejsze. W związku z tym jest pojęcie fizjokratów o kapitale. Kapitałem dla nich są tylko środki produkcji w rolnictwie, nie zaś w przemyśle, bo tylko w pierwszym przez użycie kapitału powstaje zysk, produkt

ny, dla społeczeństwa. Kapitał w rękach rekodzielnika przynosi wprawdzie zysk posiadaczowi i musi przynieść, inaczej bowiem nikt nie zechciałby podjąć się pracy, ale dla społeczeństwa jest to kapitał martwy: on przez użycie tego kapitału nie wzbogaca się.

Każde wynikiły wskazywały praktyczne z teorii fizjokratów? Po pierwsze: skoro jedynie stan rolniczy wytwarza dochód czysty, z którego żyją zarówno właściciele ziemi, jak klasa rekodzielnicza, i z którego jedynie może się bogacić państwo, należy w interesie całego społeczeństwa zaniechać polityki, która popierała dotąd przemysł kosztem rolnictwa. Po drugie: skoro prawa rządzące społeczeństwem w jego życiu ekonomicznym, są prawami natury, nie należy narzucać temu życiu krepujących więzów, należy pozostawić swobodę. A więc opozycja przeciw systemowi Colberta⁴⁾ Opozycja ta znalazła oddźwięk, gdyż cały system reglamentacji, tak pożyteczny dla państwa i burżuazji wówczas kiedy przemysł francuski stawał się pierwszym krokiem, stał się niezdolny dla tej ostatniej, w chwili kiedy przemysł zaczął wyrastać z powijaków, w jakim go skrepowano. Toteż do dzisiaj dnia powszechni historycy ekonomii widzą w fizjokratach tylko obrońców wolnego handlu, autorów zasady „laissez faire, laissez passer” i wobec tej tak mało naukowej kwestii zapomnieli o nich, jako o teoretykach.

Fizjokraci, według nas, nie mogli służyć wyraźnie po stronie ludu. Dla nich rzeczą główną było powiększenie „bogactwa narodowego”, podwyższenie „dochodu czystego”. Byli oni bezwiednie pierwszymi rzecznikami kapitalizmu i dlatego ideałem ich jest wielka uprawa, a w takim razie los rolnika obchodzi ich o tyle, o ile rolnik ten jest dzierżawcą, tj. przedsiębiorcą kapitalistycznym; o ile zaś rolnik jest chłopem, widzieli w nim najchętniej bezrolnego proletariusza. Sądził wprawdzie przy tym, że los jego wówczas będzie nie gorszy, lecz lepszy; ilekroć jednak interesy dzierżawcy i przedsiębiorcy i najmita wchodziły w kolizję, stawali z konieczności po stronie pierwszego. Quesnay⁵⁾ np. nie waha się twierdzić, że należy sprowadzić do żniw tanich Sabaudczyków, nawet gdyby na tym traciła ludność robotnicza miejscowa, którą się pozbawia zarobków, gdyż naczelna zasada, jaką kierować się musi producent rolniczy, jest wydobycie największego „dochodu czystego”. Le Trosne⁶⁾ z największym spokojem powiada: nie zapamiętaj się inaczej na niewolników murzynów, jak na zwierzęta, służące ku uprawie roli... A więc kolonia, które używają tych zwierząt, muszą mieć możność nabywania ich jak najtaniej. Analogiczne też żąda, aby robotnik rolny we Francji był tani. Mercier de la Riviere⁷⁾ domaga się, aby dochody właścicieli ziemskich były jak największe, aby położenie ich pozwalało im górować nad innymi stanami; położenie robotnika zdaje się być mu bardzo obojętne. Mniej wyraźnym może się wydać stanowisko Turgota⁸⁾, gdyż należy on do owych arystokratów w najlepszym słowa tego znaczeniu, którzy w ludzie widzieli siłę narodu i chcieli nim się opiekować. Świadczą o tym jego instrukcje o biurach dobroczynności, listy o zniesieniu pańszczyzny itd. Jest on tu mężem stanu, który nie chce wydać ludu na łup wyzyskowi, jest wreszcie filantropem o ludzkich uczuciach. Jednakże nawet dla niego decydującym pozostaje zawsze wzgląd na produkcję, nie na robotnika. Przypisywanie tedy fizjokratom szczególniejszej sympatii dla ludu robotniczego jest nieczym nieuzasadnionym. Toteż lud ten odczuł instynktownie, czego ma się spodziewać po tych rzecznikach „dochodu czystego”, i kiedy nastąpiła się dla chłopów francuskiego możność wypowiedzenia swych skarg i życzeń w cahiers de doléances, podawa-

nych stanom generalnym, zaznaczyli oni swoją niechęć ku wielkiej uprawie, której tak bronili fizjokraci, a niekiedy bezpośrednio wypowiadali się przeciw fizjokratom. Jest to aż nadto zrozumiałe, bo deklaracje o wolności osobistej i korzyściach wielkiej uprawy nie mogły przecież usunąć obaw chłopów przed kłeską, jaką mu groziło wyrugowanie z zajmowanej schedy. Czuli on, że owa „wolność” grozi sproletaryzowaniem, grozi „uwolnieniem” od środków zdobycia sobie chleba, że „nigdy wyraz nie był dalszym treści” jak w owym wyrażeniu „wolny najmita”.

Niemniej wszakże fizjokraci na zasadzie swego systemu musieli być wrogami uprawy pańszczyźnianej i, o ile napotykali jej ślady we Francji, potępiali ją. Działo więc ich mogły i musiały stać się bronią w ręku tych, którzy zwalczali niewolę chłopów i stali się nią szczególnie w Polsce.

Można śmiało powiedzieć, że fizjokratyzm był w Polsce rzeczywistą teorią, stającą w obronie klasy uciśnionej (czego, jak zaznaczyliśmy na wstępie, powiedzieć nie można o nim we Francji). Zasadą polskich fizjokratów jest, że zastosowali teorię o „produit net” do chłopów pańszczyźnianego, że naukę o wolności indywidualnej użytkowali tak stanowczo na korzyść emancypacji tego chłopów. Jako ideologowie, szlachetni ci pisarze podchwycili to z nauki swych mistrzów, co było w niej najpiękniejszego z punktu widzenia postępu społecznego. Lecz rezultat był żaden prawie: zmusić klasę panującą do reformy społecznej, wbrew interesom większości tej klasy⁹⁾, tego teoria żąda i nigdy nie dopięła. Francuscy myśliciele na wprost bezwiednie stają po stronie wybijającej się na wierzch burżuazji, i ta zwyciężyła; ich uczniowie polscy z całą świadomością są po stronie uciśnionych chłopów i ci nie zyskali nic prawie. Taka jest potęga i taka bezsilność idei.

Kapitalistyczny rozwój i niewola — te dwie rzeczy wyłączają się wzajemnie. Oto dlaczego w Polsce nie mogło być mowy o przemyśle. Pewne dziewczę polskie wskazało na tę prawdę już w XVIII-ym wieku. Coxe¹⁰⁾ opowiada nam w swojej „Podróży po Polsce”, o wycieczce, jaką złożył manufakturom królewskim pod Grodnem, gdzie według jego relacji pracowało 3000 chłopów w pańszczyźnianym pod dozorem 70 cudzoziemców, i przy tej sposobności kreśli następujący

9) Mówimy o większości, naszym bowiem zdaniem reforma była koniecznością ekonomiczną dla wielkiej i średniej własności, stawała się zaborczą dla mniejszości. Ponieważ zaś przedstawiciele tej ostatniej mieli większość, reforma nie doszła do skutku (przypisek autora).

10) Coxe Wiliam (1746-1828) — duchowny anglikański, podróżnik i historyk. Autor „Travels in to Poland, Russia, Sweden and Denmark” (1784).

STANISŁAW PŁOSKI

PRACA NAUKOWA MARCHLEWSKIEGO

W r. 1889 Julian Marchlewski wrócił do kraju po 2-letnim wybyciu z granic, dokąd udał się zagrożony aresztowaniem w związku ze swoją działalnością w tzw. II Proletariacie.

W tym okresie wśród kółek młodzieży socjalistycznej wystąpił kierunek przeciwny taktce terrorystycznej II Proletariatu. Z kółek tych utworzył się Związek Robotników Polskich, jednym z założycieli którego był Marchlewski wraz ze słuszerem Janem Lederem, metalowcem Stanisławem Kulikiem, literatem Adolfem Warszawskim (Warskim), studentem Stanisławem Grabskim, wótkniarzem Henrykiem Wilkoszewskim i in.

Związek Robotników Polskich „początkowo starał się organizować tylko walki ekonomiczne, kasy oporu, związki fachowe i biblioteki robotnicze, rozwijając dużą inicjatywę organizacyjną i rozszerzając szybko swoją działalność na wszystkie ośrodki przemysłowe kraju”¹⁾.

Objawowy stanowiąc majstra farbiarskiego w fabryce Biedermana w Łodzi Marchlewski ukrótce po przybyciu tam nawiązał kontakt z nienależącymi wówczas do żadnej partii grupą, na czele której stał Antoni Szuman technik w fabryce metalowej Stephanausa oraz kolejarze Wacław Dąbrowski, Ludwik Krasuski, Feliks Siemiątkowski i Artur Głiszczyński.

1) Bolesław Bierut — „Podstawy ideologiczne PZPR” — Feferat wygłoszony 15.XII. 1948 r. na Kongresie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

obrazek rodzajowy: „Jedno z dziewcząt, cokolwiek sprytniejsze, odpowiedziało dozorczy, który zachęcał je do większej pilności: Jakąż mieć będę korzyść, siuchając waszych rad? gdybym była najbieglejszą w robocie, to przecież zawsze pozostaną poddanka, ja będę miała pracę, a mój pan pożytek”. Anglik dodaje: „na to rzeczywiście trudna była odpowiedź”. Bo też i nie trzeba odpowiadać. Dziewczyna rozważała głęboką kwestię ekonomiczną — społeczną: w Polsce przemysł nie mógł istnieć, dopóki lud polski „miał tylko pracę, a pan pożytek”. Rozumieli to ludzie obeznani z kwestiami ekonomicznymi już wówczas i dlatego żądali przede wszystkim zasadniczej reformy — zniesienia pańszczyźnianego. Chcieli stworzyć w Grodnicy polski Lyon z robotnikami, zapędzonym na pańszczyźniany do fabryk bogactwem ekonomicznym, na takie pomysły mogli wpadać tylko dyletanci, jak król jegomość lub Tyzenhauz¹¹⁾.

Chcąc więc dojść do ogólnego sądu o roli historycznej, jaką odegrał fizjokratyzm, należy przede wszystkim pamiętać, że teorie w naukach społecznych, a szczególnie w ekonomii teoretycznej, „algebraicznej” jak chce Korzon¹²⁾, powstają i przyjmują się w danym społeczeństwie zawsze zgodnie ze stosunkami społecznymi, które panują, że teorie są tylko odzwierciedleniem tych stosunków w głowach myślicieli. Tak też ma się rzecz z fizjokratami polskimi. Nie mogli oni wymyślić innych systemów podatkowych jak te, na które pozwalał stan ekonomiczny kraju, pograżonego w gospodarcę naturalistycznej; nie mogli zalecać systemu epoki merkantylistycznej dla przemysłu i handlu, bo nie było warunków bytu dla takiego systemu; nie mogli stworzyć ani zalecać systemu kredytowego wobec pierwotnych stosunków wymiany. Natomiast musieli, zgodnie z całym poglądem filozoficznym swego czasu i zgodnie ze stanem ekonomicznym — społecznym kraju, poddać się urokowi nowej nauki ekonomicznej. Myśleć nie — fizjokratycznie było sztuką naówczas w Anglii, niepodobniestwem w Polsce. Przy pomocy tego aparatu naukowego jednego, który wtedy nadawał się do badania, trzeba było wykryć źródła niedomagania gospodarstwa społecznego; to właśnie uczynili fizjokraci, upatrując przyczyn upadku rolnictwa, jedynej podstawy ekonomicznej Polski, w niewoli chłopów. Więcej wymagać od teoretyków nie mamy prawa. Julian Marchlewski.

11) Antoni Tyzenhauz (1733-1785) — podskarbi nadworny litewski, założyciel na przedmieściach Grodna — Horodnicy i Łosonie 2 osady fabryczne, w których znajdowało się przeszło 20 manufaktur, wyrabiających sukno, płótno, pończochy, kapelusze, koronki, jedwab i in.

12) Tadeusz Korzon (1839-1918) — historyk polski, autor m. in. „Wewnętrznych dziejów Polski za Stanisława Augusta 1764-1794” (6 tomów, I wyd. 1882-86, II wyd. 1897-99), w których dość obszernie omawia zagadnienie fizjokratyzmu w Polsce.

Arnold Ślucki

Ojcu Pułkownika

Chłopie w brązowym kapeluszu bez wstęgi, dozorczo stępów z nosem różowym, potomku burtaków pędzonych za Wołgę, ojcie pułkownika, któryś mi barszczem zagratł pochód — widzę cię sosnę piluszce ogromna, kolanem wdeptując żółty śnieg trocin w ziemię strąconą przez czoię. Nad Wisłą rośnie pomnik twojego syna z powietrza, wody, nadziei i światła, nad pomnikiem twego syna stoję, w mroźnym styczniu mego kraju uwięziony jak w strofie Niekrasowa.

1946

Wiersz o miłości, kwiatach i polityce

Kocha lubi szanuje
Liście akacji nieświadome
odrzucać animizm
choć kocham ciebie
ożywiający trawy jak ptaki
o światło ufrizowanej głowy
dorastająca siostra słończników

Siostra słończników
ptaków i akacji
za tobą rozległe pole
popiół mego brata na kapusie włoskiej
egzotyko przemysłu śmierci
świt jak sztandar otulił
mego brata
On jest różą ziemi
On jest ceną życia

Idę na wiec
wykrzyknąć moją miłość
Bo jest związek
między moją miłością
słończnikiem
i ptakami
a dziobami okrętów
złowrogich
Bo wystarczą dwa inicjały
I. G.
ażebym poczuł swąd
nowych pogorzelski
ażebym gazeta była czarna
i litery zbieżały
Kiedy za moim najulubieńszym poetą
Pablo Nerudą
wzięciem przyrody i ludzi
zatrzaśnięto drzwi ciężkie z żelaza.

1948

Pieśń o żelazie

Żelazo śpiewam — gwiazdę utrudzonych
Żelazo z którego zrobione są młoty
Żelazo z którego zbudowano mosty
Żelazo tak lotne, że służy za skrzydła
Żelazo którym spojono kołyskę
Żelazo które łąbi powietrze i ziemię
Ramię podane miastom i rzekom
Żelazo z którego kształtują posągi
Żelazo które chroni drzewa w parkach
Żelazo z którego ukuto brzoń
Dla walecznych sprawiedliwych
Czołgi które wyzwoliły moje miasto
Żelazo gmachom nadające trwałość
Żelazo hartowane przez ludzkie ręce
Które obejmowały dziecko i żonę
Ludzie prości odbieracie żelazo
Tym co najeżdżają miasta i wyspy
Tym co paradują po przedmieściach Paryża
Tym co demolują lokale redakcji
Tym co zabijają greckie kobietki
Odbieracie żelazo ludziom bez twarzy
Ludziom którzy nigdy nie hartowali żelaza.

1950

wych (prawa i nauk społecznych) Uniwersytetu. Nie przerywając działalności rewolucyjnej jest wówczas członkiem SDKPiL — kołczy w r. 1897 Uniwersytet. Doktoryzuje się na podstawie rozprawy „Der Physiokratismus in Polen”, ogłoszonej drukiem w Zurychu jako II tom serii „Beiträge zur Geschichte der National-Oekonomie”, wydawanej pod redakcją prof. I. Wolfa.

Jeszcze przed ukazaniem się wydania niemieckiego swej pracy, Marchlewski zamieścił jej skrócony przekład polski w miesięczniku „Biblioteka Warszawska” pt. „Fizjokratyzm w dawnej Polsce”. Nieco później ukazało się również oddzielne polskie wydanie „Fizjokratyzm w dawnej Polsce”, które chociaż na karcie tytułowej ma nadruk „Odbitka z Biblioteki Warszawskiej” posiada tekst nieco obszerniejszy od tekstu drukowanego w „Bibliotece Warszawskiej”.

Na wielkie znaczenie fizjokratyzmu w historii myśli ekonomicznej pierwszy zwrócił uwagę Marks. Uważa on, że fizjokratyzm stanowi pierwszą systematyczną koncepcję produkcji kapitalistycznej, a fizjokraci, szczególnie Quesnay i Turgot, są ojcami współczesnej ekonomii politycznej.

Doktryna fizjokratów kształtowała się we Francji w połowie XVIII stulecia. W tym czasie rolnictwo francuskie, będące podstawą gospodarki narodowej, znajdowało się w stanie upadku. Przyczyniła się do tego merkantylistyczna polityka Colberta, który kosztem rolnictwa usiłował zwiększyć eksport francuski i pozyskać dla niego nowe rynki zbytu. Popieranie

produkcujących towary eksportowe manufaktur, zarówno w drodze ulg podatkowych jak subwencji, wymagało wielkich środków pieniężnych. Dążenie do zapewnienia sobie rynków zagranicznych i kolonii pociągało za sobą utrzymanie licznego i kosztownego wojska oraz prowadzenie wojen, wyczerpujących gospodarkę francuską.

Rolnictwo rujnowały wysokie i różnorodne podatki i opłaty na rzecz państwa, szlachty, duchowieństwa i in. Ciężką sytuację rolnictwa pogarszały jeszcze niskie ceny na produkty rolne, utrzymywane za pomocą wywozu zboża z kraju oraz utrudnieniami w handlu wewnętrznym, podlegającym szeregowi drobnych przepisów.

Przemysł wskutek coraz to zwiększającego się rynku zbytu wewnętrznej w związku z pauperyzacją ludności rolniczej, również zaczął upadać pomimo systemu protekcyjnego. Jednocześnie Francja poniosła porażkę w wojnach z Anglią, która w połowie XVIII wieku wyparła ją z kolonii i większości zagranicznych rynków zbytu.

Wszystko to spowodowało ostrą krytykę merkantylistycznej polityki Colberta i usilne poszukiwanie wyjścia z wytworzonej sytuacji. Na tym tle zrodził się fizjokratyzm.

*

Chcąc zapoznać czytelników „Wsi” z pracą Marchlewskiego publikujemy z niej fragmenty według tekstu oddzielnej wydania polskiego.

Stanisław Płoski.

JAN KRYZA

WIELKIE KADRY SPECJALISTÓW

(Na marginesie trzech ustaw*)

Plan 6-letni stawia przed wyższymi uczelniami zadanie przygotowania około 130 tysięcy specjalistów z wyższym wykształceniem.

Potrzebne nam są zatem obficie fioletowo-siwe kierownicy: inżyniersko-techniczne i humanistyczne, ale przede wszystkim takie siły, które zdolne są zrozumieć politykę klasy robotniczej naszego kraju, zdolne są przyswoić sobie tę politykę i gotowe są zrealizować ją sumiennie i entuzjastycznie.

Na ile rozrosła się już siła ludowa do dzierżenia władzy w tej jej postaci, jaka się wyraża w kierownictwie i organizacji produkcji, jaka się wyraża w wytworzeniu treści oświaty i kultury i ich wychowawczym upowszechnianiu?

Dla porównania warto cofnąć się myślą do lat przedwojennych.

Gimnazja wówczas kończyła młodzież chłopska 0,5 proc.; młodzież robotniczą 0,6 proc.; młodzież drobniemiejszczańska 10 proc.; dzieci pracowników umysłowych 30 proc.; zamkniętego mieszczaństwa i ziemianstwa 50 proc.

W roku 1937/38 ogólna ilość studentów na wyższych uczelniach wynosiła 48 tysięcy. Młodzież robotniczą i chłopską było razem 4 proc.

Oto trzy punkty, od których zaczyna się historia tworzenia nowej, ludowej inteligencji w Polsce Ludowej:

1) Właska baza wyższych uczelni (48 tysięcy — baza pozbawiona szerokiej podbudowy szkół zawodowych i przemysłowych)

2) 4 proc. młodzieży chłopsko-robotniczej.

3) Miażdżąca przewaga młodego pokolenia burżuazji i inteligencji związanej z nią swą najemną funkcją i wdrożoną do myślenia i działania utrwalającego klasowe rozwarstwienie narodu.

Po pięciu latach w Polsce Ludowej — po pierwsze: baza wyższych uczelni została rozszerzona. Studentów jest 115 tysięcy. To znaczy 2 i pół raza więcej niż przed wojną. Wyższe uczelnie zostały podbudowane szkołami i kursami zawodowo-przemysłowymi, które obejmują kilkadziesiąt tysięcy młodzieży.

Po drugie: młodzież robotniczo-chłopską na wyższych uczelniach jest już 58 proc. t. zn. jest jej więcej od 2 dziesiątki tysięcy niż wynosiła ogólna liczba wszystkich studentów różnych wziętych przed wojną. W tej bezwzględnej liczbie tkwi klasowa wymowa przemian. Tkwi klasowa siła władzy Polski Ludowej.

Po trzecie: burżuazji ziemiankiej i przemysłowej już nie ma. Młodzieży tego pochodzenia jest znikomy procent. W konkurencji znajduje się jeszcze młodzież niższego piętra kapitalizmu: drobniemiejszczańska, bogacko-chłopska i wolnych zawodów. Pokażą część w tych poza chłopsko-robotniczych 40 proc. zajmuje młodzież ze środowiska inteligencji pracującej, co w nowych warunkach oddziaływania ustrojowego nabiera znaczenia pozytywnego.

W obecnej przewadze na wyższych uczelniach elementu robotniczo-chłopskiego, — zawiera się podstawowa szansa spełnienia jednego z najważniejszych warunków budowy socjalizmu — przygotowania wysoko kwalifikowanych kadr specjalistów.

Młodzież, która kończy w tym roku studia, kończyła licea lub zaczynała studia w latach przełomowych zwycięstw politycznych demokratycznego obozu, utrwalających drogę do socjalizmu, utrwalających sojusz robotniczo-chłopski. Przełom w dojrzłość życiową zbiegł się u niej z przełomem politycznym w życiu narodu. Zjednoczenie młodzieży, wielki wysiłek Z.M.P. i Z.A.M.P. wplótł ją w nową rzeczywistość, ubojowił. Wysiłek całego narodu włożony w wykonanie planu trzyletniego, współzawodniczenia pracy, racjonalizatorstwo, zjednoczenie ruchu robotniczego, stronnictwo ludowe, kielkowanie spółdzielczości produkcyjnej na wsi, to były wielkie kamienie myślniki, które ścierały w tej młodzieży niejasność przyszłej drogi życiowej i poczucie niższości, ścierały urok burżuazyjnie myślących kolegów, wpływy klas pośrednich.

Wielkość planu 6-cio letniego porwie ją w pracę i zadania, które z większą wytrzymałością działaczy specjalistów, budowniczych fundamentów socjalizmu. Młodzież, która teraz wstępuje na wyższe uczelnie wielkie przemiany w życiu Polski Ludowej przeżyła już w latach gimnazjalnych, żyje ich treścią, jaką własną, pierwszoplanową. 40 tysięczny ZAMP otrzymuje w niej najsłabsze i najniebezpieczniejsze tworzywo.

Na tle przypominanych tu przemian nowa ustawa o państwowych stypendiach nabiera szczególnie wyraznej i ważnej wymowy.

Kiedy przed wojną stypendia objęły tylko 4.600 studentów, w tym roku obejmują 36 tysięcy, w przyszłym roku 47 tysięcy, t. zn. tylu studentów, ilu ich w ogóle było na wszystkich uczelniach przed wojną.

Suma wyasygnowana przez Państwo w r. b. wyraża się cyfrą 3.700.000.000 z. zn. 17 razy większą od budżetu stypendialnego rządów kapitalistyczno-sancyjnych.

Scentralizowanie funduszy stypendialnych w dyspozycji i rozdziale państwa i jego plan stypendialny oznaczają zacieśnienie związku najbardziej bezpośredniego i najbardziej powszechnego pomiędzy rządem robotniczo-chłopskim, a masami pracującymi narodu, jako tym rzeczywistym podmiotem, który odkłada ze swej pracy fundusz stypendialny i, dla którego jedynym powiernikiem, do jakiego może mieć bezwzględne zaufanie klasowe jest rząd, jest władza robotniczo-chłopska, przedstawicielstwo mas pracujących z niezłomną awangardą klasy robotniczej, partia, na czele.

Projekt określa zatem stosunek pomiędzy rzeczywistym fundatorem stypendiów a stypendystami. To robotnicy i pracujące chłopstwo wspoma-

gają młodzież robotniczą i chłopską w osiągnięciu przez nią najwyższych umiejętności zawodowych i naukowych. To oni nie szcedzą swego trudu i swego grosza na spełnienie marzenia ludowego: utrwalenia władzy ludu i podniesienia i upowszechnienia oświaty. I tylko ich trudem, ich wyrzeczeniem to marzenie spełnić się może i spełnia. Nadanie jest wyraźne. To masy pracujące wydzwigają spośród siebie stypendiami młodzież robotniczą i chłopską, aby powróciła w ich walczące i przebudowujące Polskę szeregi i siłą wiedzy wzmogła i przyspieszyła budowę socjalizmu, t. zn. powszechnego dobrobytu, sprawiedliwości i bezklasowej, najwyższej wolności narodu.

Projekt ustawy o państwowych stypendiach tym właśnie nadaniem zobowiązuje stypendystów. Wieloletnia masa stypendystów ma się stać awangardą, która wyrasta ze swej klasy — robotniczej i chłopskiej drobno i średniorolnej i o tyle ma prawo czerpać z państwowych stypendiów — t. zn. z robotniczego i chłopskiego poświęcenia o ile wszystkie siły — teraz w nauce — a jutro na posterunku pracy odda swojej klasie i narodowi. I dlatego tak jak pod postacią państwowych stypendiów klasa robotnicza i chłopstwo biedne przyciągają naszych studentów do swych szeregów, na front walki, jaką toczą ofiarnie, tak obowiązkiem stypendystów, obowiązkiem młodzieży studiującej jest stopniem i rolą specjalisty przyciągać i podnosić to wszystko co jest najzdolniejsze i najlepsze w masach pracujących.

Młodzież chłopska szeroka falą dopływająca na wyższe uczelnie ma tam dziś w postaci wielkiego ognia młodzieży robotniczej i państwowych stypendiów, warunki na to aby najśmięlej i najdalej wypełnić treść swojego chłopsko-robotniczego, tj. rozumieć politykę klasy robotniczej, przyswoić sobie tę politykę i zrealizować ją sumiennie i entuzjastycznie.

Warto zdać sobie sprawę z tego, że w r. b. kształci się dzieci i młodzież w szkołach wszystkich typów 5 milionów 400 tysięcy. Stanowi to jedną piątą całej ludności kraju. Do redakcji pism masowych, jak „Gromada” czy „Chłopska Droga” w tysiącach listów chłopskich jedno z pierwszych miejsc w opisie zajmuje szkoła i kształcenie młodzieży. Nie ma gminy, nie ma prawie wsi, gdzie by nie czuło przełomu w dziele oświaty. O tym piszą sami chłopcy. Do każdej prawie wsi sięga to obryzmie unierwienie werbunkowe, które działo, że w każdej gromadzie z napięciem śledzi się proces narastania w planie 6-letnim kadr fachowców: owych 150 tysięcy absolwentów szkół wyższych, owe 300 tysięcy absolwentów szkół zawodowych I stopnia, owe 800 tysięcy absolwentów szkół zawodowych II-go stopnia, owe milion 300 tysięcy absolwentów szkół kształcących

na poziomie rzemieślniczym. W tej perspektywie sprawa kadr różnych w zakresach i na różnych poziomach przestaje być tylko zagadnieniem rzędu jest również najoczywistej sprawą mas ludowych, sprawą na każdej wsi namacalnie uchwytą, nad którą się czuwa troskliwie. Chłopskie listy dokumentnie przedstawiają lata studiów, stopnie i ocenę młodzieży, która z ich wsi poszła się kształcić.

Przemiany jakie dokonywują się na poziomie ZSCH, rozwój spółdzielni produkcyjnych, rosnący wpływ PGR-ów i POM-ów wymagają na wsi potrzebę fachowych kadr różnych specjalności, uprzytomniają wagę nauki nie tylko dla rozwoju produkcji rolnej i bezpośrednich potrzeb życia wiejskiego, ale również i przede wszystkim znaczenie w hierarchii, rozwoju życia gospodarczego Polski kluczowych specjalności przemysłowych. Kontrola gromad nad swoją młodzieżą, kształcąca się w szkołach zawodowych i na wyższych uczelniach, nie jest naiwna. Nie o-to idzie swojakom aby ich chłopcy wrócili na rodzinną wieś, ale żeby się „wyspecjalizowali” a nie zmarnowali. Aby w rezultacie inni, którzy tu przybędą dawali również gwarancję rzetelnej umiejętności i ofiarnego poświęcenia. Od dołu, z prowincjonalnych zakątków płynnie zgodnie jedno żądanie: skoro zabiegamy o kształcenie naszych dzieci, to zabiegamy o to, aby Polska Ludowa miała jak najwięcej sił fachowych, dlatego oczekujemy, że do nas i do innych miejsc w kraju, tam gdzie tego wymaga potrzeba i w terminach w jakich wymaga pilnie — przybędą dzieci nasze, wyszkolone i przejęte odpowiedzialnością wobec mas pracujących. Przybędą tam, gdzie im wskaże pracę Plan 6-letni, tzn. rząd i nasze Rady terenowe. W okresie Planu 3-letniego przeobrażało się w społeczeństwo dawne, ciętne rozumienie szkół zawodowych i wyższych. W kształceniu widziano lepszy los i wyższą pozycję tych, co się „wyżej wyuczą”. Sprawa szkół i kursów stoi dziś już inaczej. Dojrzała świadomość społecznej wagi setek tysięcy nowych, kwalifikowanych specjalistów.

Los osobisty absolwentów sprzęga się z potrzebami i nadziejami kraju jak długi i szeroki, dlatego w terenie, na prowincji w tabelach cyfr, obrazujących wzrost ilościowy kadr fachowców, odczytuje się odesłki, jak i w jakim czasie mogłyby tam zasilić i wzmocnić prace już zaczęte lub oczekujące podjęcia. Krótko mówiąc w społeczeństwie również niechęć do plynności kadr pracowników w zawodach lub specjalnościach ważnych dla gospodarki społecznej, dla społecznego życia. W społeczeństwie wzrasta gorące pragnienie planowego zatrudnienia absolwentów szkół zawodowych (średnich) oraz wyższych akademickich i nieakademickich.

mi”, no i przywiązaniem sobie „wyroblonych” nadwyżek. Po ograbieniu spółdzielni przez bandę leśną proponuje bogatszym chłopom, by zasilili ją swoimi kapitałami. Mają oni założyć coś w rodzaju kumoterskiej spółki do eksploatacji spółdzielni gminnej. A co na to biedni chłopcy, a co na to naczytelnic Wałęga, sekretarz koła Partyjnego w Henrykowie? Wałęga początkowo zachwycony jest Zadrą. Wydaje mu się, że sklepikarz stał się „nowym człowiekiem”. Olcha Wałęgę potraktował trochę jako potomka społeczników ze szkoły Żeromskiego, stąd problem walki klasowej zaciera się w oczach nauczyciela wiejskiego. Błędem autora wydaje mi się jednak to, że w związku z nasileniem się „ducha ofensywy” po stronie elementu kulackiego nie pokazał dostatecznie silnie dojrzejącej świadomości klasowej u takich osób jak Cisoń, Ciępcy, Plichta, Barwick. Cisionia autor odsunął na dalszy plan. Znamy go tylko z wystąpienia na zebraniu gminnym ZSCH, wiemy, że zginął z ręki bandy leśnej, Ciępcy pokazują się na kartach książki rzadko; Plichta odslania się czytelnikowi w ostatniej partii powieści. A przecież to jest awangarda Henrykowa, dawni formalne i drobnorolne, element najbardziej wyrobiony politycznie, ludzie wyposażeni w instynkt klasowy. Na nich powinna się bardziej skupić pisarska uwaga Olchy. W ich świadomości — powinny się przełamywać fakty polityczne. O nich wiemy tylko z napomnień drugoplanowych postaci, z krótko zaznaczonych przez autora scen. A przecież na terenie Henrykowa „Jagodna rewolucja” nie przechodziła bezkarnie. Rok 1946—47 w małej wiosce to terror band leśnych, to zamach na Wałęgę, to ograbienie spółdzielni, to wreszcie śmierć Cisionia. Były to mocne uderzenia wroga klasowego.

Fakty te w powieści nie odbyły się dostatecznie silnie. Autor przecież mógłby posłużyć się nimi, jak tygłem, w którym wytopia się świadomość polityczna henrykowieckich drobnorolnych chłopów. Dla Jaśni i Plichty i chłopów z nimi związanych szkoła politycznej oceny tych faktów uświadomiłaby im konieczność walki, rozszerzyła znajomość form, pod jakimi występuje wrog klasowy.

Tymczasem autor nie przeprowadza bohaterów powieści przez tę szkołę. Stąd wynika dość paradok-



Uchwalone ostatnio przez Sejm dwie ustawy 1) o zapobieżeniu plynności kadr i 2) o planowym zatrudnieniu absolwentów — spełniają te uświadomione szeroko w kraju pragnienia i potrzeby. Ustawy te pozwolą na należyte, zgodne z potrzebami gospodarki narodowej, rozmieszczenie w okresie Planu 6-letniego ok. 130 tysięcy absolwentów z wyższym wykształceniem i ok. 300 tysięcy absolwentów średnich szkół zawodowych. Projekt ustawy stanowi, że przy podziale pracy uwzględnić się będzie — o ile możności — życzenia absolwenta co do rodzaju i miejsca pracy oraz inne okoliczności o znaczeniu bądź osobistym dla absolwenta bądź też społecznym.

Ustawy o zapobieżeniu plynności kadr i planowym ich zatrudnieniu dopełniają ustawę o państwowych stypendiach, nadając młodzieży robotniczej i chłopskiej poprzez szkoły zawodowe i wyższe studia jeden kierunek. Dzieci robotników i chłopów wracają do pracy w masy robotniczo-chłopskie aby z nimi i dla nich urzeczywistniać socjalistyczne jutro.

Wszystkie trzy ustawy wymagają jak najszerzej popularyzacji. Słusznym i koniecznym jest aby naszej kształcącej się młodzieży przypominać wszędzie i zawsze, że pomocnią jej miliony ojców, braci i sióstr, miliony pracujących robotników i chłopów. Powiększyć tę pomoc mogą

oni, młodzi specjaliści rozszerzając i wzmagając produkcję, socjalistyczną i wzmagając świadomość socjalistyczną w walce i pracy o lepszą przyszłość narodu.

Słusznym i koniecznym jest aby w szkołach podstawowych na wsiach, w kołach młodzieży, Związku Samopomocy, uczone dzieci, wpaiano młodemu świadomości, że ich start do szkół wyższych, to start w przyszłość na placówkę nieznaną najczęściej, ale potrzebną i oczekiwaną w Polsce, kraju robotników i chłopów. Pójdą zawsze tam, gdzie najbliższa potrzeba, gdzie najważniejszy punkt. Z idei planowego rozmieszczenia czerpać mogą swą dumę. Bo to jest ich dumą, że z klasy robotniczej i chłopskiej drobno i średniorolnego wychodzą, że zdobywają wiedzę i tam idą gdzie potrzeba, trudności i waga zwycięstwa spletają się w jedną całość. Nie można oderwać żadnego z tych członów, tylko razem ugruntowują one w społeczeństwie nowy urok kadrowców-specjalistów.

Jan Kryza

1) O państwowym systemie stypendialnym.
2) O zapobieżeniu plynności kadr pracowników w zawodach szczególnie ważnych dla gospodarki społecznej.
3) O planowym zatrudnieniu absolwentów średnich szkół (zawodowych) oraz wyższych.

LEONARD SOBIEIRAJSKI

O literacką wizję wsi

(Nad powieścią Antoniego Olchy *)

węzłowych, odslania mu krzyżowe konflikty dnia. By mógł one wejść na warsztat literacki, trzeba jeszcze czegoś więcej — dużego doświadczenia społecznego, wnikięcia w środowisko, gdzie te konflikty się rodzą.

Pisać o klasie robotniczej, pisać o wsi — to żyć problematyką tych klas, to żyć po prostu w masach ludowych. To jest warunek drugi. Żyć w masach ludowych to z bogactwem się odinstynkt klasowy, to dojrzałe procesy „nowego” od jego korekty, to wzmocnienie niesłychanie swoją czujnością na te przejawy życia, które wnosi klasa robotnicza i podstawowe masy chłopskie w rodzącą się kształt socjalistycznego społeczeństwa.

Pisarz poznaje, doświadcza, by mógł wystąpić w swojej funkcji, by mógł twórczo sprostać swojej epoce. Poznane, doświadczone trzeba celnie, przekonywująco wyrazić, trzeba łamać się z sumą środków, jakie przekazuje tradycja literacka, trzeba środki te prze-wartościować, zdać sobie sprawę z ich funkcji w literaturze epoki kapitalistycznej. Wydaje mi się, że jest to zagadnienie, które młodzi prozaicy muszą głęboko przemyśleć. Wstępujemy w okres planowego organizowania pisarstwa, w tym momencie należy zdać sobie sprawę jak bardzo tradycyjna, mieszczańska powieść ciężko jeszcze formalnie rad naszą prozą. Podanie się jej schematowi, próba konstruowania obrazu dzisiejszego życia przy pomocy elementów, jakie ona wypracowała — musi doprowadzać do zamazanej, zamoczonej wizji rzeczywistości. Gdy się chce sprostać dziś normom gatunku literackiego, jakim jest powieść, trzeba pamiętać o tym, że musi ona dać inną konstrukcję życia, niż dawała ją powieść mieszczańska. Tej nowej konstrukcji życia muszą służyć jej warsztatowe elementy. W tym kierunku pisarz winien nateżyć wysiłek kompozycyjny. Wysiłek ten powinien się odslaniać w budowaniu postaci, w operowaniu opisem i komentarzem autorskim. Trudno dziś oczywista rygorystycznie wyznaczyć wszystkie elementy poetyki normatywnej dla polskiej powieści

realizmu socjalistycznego. Można jednak tworzyć jego przyczynki analizując od strony wyrazu artystycznego te powieści, jakie się ostatnio u nas ukazują. Wydaje mi się, że krytyka czuwająca i nad warształem pisarskim oddałaby tworzącej się powieści dużą przysługę.

Czy byłoby to tylko krytyka formalna? Nie podobnego. Analiza formalna polegałaby na sprawdzeniu, na ile użyte przez pisarza środki są adekwatne dla badania konfliktów, jakie autor pragnął w dziele zarysować. Przyjmując ten punkt widzenia, postaramy się rozważyć powieść Antoniego Olchy „Most nad urwiskiem” ograniczając się oczywiście do kilku tylko elementów powieści.

„Most nad urwiskiem” jest wśród powojennych książek o tematyce wiejskiej pierwszą większą próbą ujęcia w powieściowym języku wsi powojennej, a więc wsi po reformie rolnej, wsi organizującej się społecznie i gospodarczo w Związku Samopomocy Chłopskiej, ale równocześnie i wsi — terenie, gdzie elementy kapitalistyczne potrafiły się mocno okopać, by z biedotą większą toczyć zaciętą walkę o utrzymanie prymatu gospodarczego i społecznego. Olcha stara się w swojej powieści odslonić metody tej walki, stara się na przykładzie Henrykowa pokazać rozkład i przesuwanie się sił w nowej sytuacji. Akcentujemy te momenty powieści, które mają znaczenie historyczne, które w dzieło wnoszą barwę czasu i odslaniają typowe procesy dla wsi z lat 1946 — 47. Powstaje dla nas pytanie, czy autor przede wszystkim te momenty wziął za podstawę konstruowania swojej powieści, czy nie ugiął się przypadkiem przed tradycyjnie pojętą fabułą, która zakładała pokazywanie bohatera od strony jego życia prywatnego, od strony konfliktów jednostkowych. Olcha niestety nie uniknął tego błędu. Wprowadzając sprawę Agnieszki Grebalówny, jako pierwszoplanową, zamoczył cstry rysunek społecznego obrazu Henrykowa, zachwał właściwe proporcje, skierował zainteresowanie czytelnika na postać, która w to-

ksalna sytuacja. Kulacy osaczają wieś, oni to w pełni zdają sobie sprawę z podjętego ataku, a obrońcy interesów biedniackiej wsi po prostu całej sprawy nie zauważają — ich czujność klasowa jest zupełnie uśpiona. Czytelnik zadaje sobie pytanie, jakby w Henrykowie rozwinęła się sytuacja, gdyby Zadra nie zaryzykował w sposób zbyt nachalny wciągnięcia do kumoterskiej sitwy Jaśnicę a później Plichtę, a zwłaszcza Plichtę.

Przypominamy sobie, że Plichta zupełnie nie przyjmuje słusznej krytyki, towarzysza partyjnego murarza Sarnka, który przyjeżdża do Henrykowa z ekipą robotniczą, by pomóc drobnorolnym chłopom w siewach wiosennych. Świadomy robotnik Sarnek potrafi klasowo ująć sytuację Henrykowa. Plichta nie. Olcha nie poszedł w powieści na metodę rozbudowywania poprzez szereg etapów świadomości klasowej wprowadzonych przez siebie postaci. Przyjął rozwiązanie łatwiejsze: pokazał fakty. Dał pierwszą jakby warstwę rzeczywistości społeczno-politycznej wsi.

Z tej pierwszej warstwy dał w dużym zbliżeniu i sytuacji i postaci, które ukazują pasywną rolę elementów kapitalistycznych wsi, które ukazują odradzanie się wyzysku i spekulacji. Te momenty otrzymały w powieści przekonywujący wyraz artystyczny. Tam, gdzie autor próbował kreślić obóz postępowy Henrykowa — nie poszedł dalej poza sformułowania raczej dziennikarskie, w które wyposaża bohaterów, każąc czytelnikowi wierzyć, że one wyrażają stopień ich świadomości klasowej. W powieści Olchy nie została artystycznie, przekonywująco pokazana droga ideologicznego wyrastania tych sił, które na ostatnich kartach książki przechodzą do kontrofensywy na obóz kulacki Henrykowa. Dlatego tak blado wypadła w powieści scena ostatnia, w której autor modeluje „żywy obraz” dwóch obozów Henrykowa. Zakonczenie książki stawia czytelnika przed perspektywą mającej się dokonać rewolucji w Henrykowie. Nie pokazano nam jednak wcześniej bohaterów tak, byśmy byli całkowicie przekonani, że wysunie ona na powierzchnię te siły, które rozumieją sens toczącej się walki.

Leonard Sobierajski.

*) Antoni Olcha: „Most nad urwiskiem”. Wydawnictwo Ludowe, 1949.



Wtoczających się ostatnio dyskusjach literackich — na łamach pism bądź na zebraaniach, których tematem był problem nowej literatury — mimo przeorania szeregu podstawowych dla dzisiejszego pisarstwa spraw — nie wiele poświęcono uwagi zagadnieniu warsztatu pisarskiego. Przypominam sobie dyskusję nad nową prozą, jaka się toczyła w gronie ludzi dobrze zorientowanych w trudnościach znalezienia trafnego wyrazu dla literackiego ujęcia istotnych momentów dzisiejszej rzeczywistości. I tam sprawa techniki literackiej, pojętej szeroko, jako suma środków pisarskich, przy pomocy których można by atakować przetwarzając się życie — wymknęła się uwadze rozmówców. A jest to przy wspólnej batalii o prozę realizmu socjalistycznego — sprawa nie biała.

Trafnie wyrazić dziś rzeczywistość, którą kształtują masy ludowe — można tylko wtedy, jeżeli pisarskie widzenie życia wyrasta z głębokiej dojrzałości ideologicznej, jeżeli stoi za nim wiedza, znająca punkty wyjścia i konieczny kierunek rozwoju naszej, zmierzającej do socjalizmu rzeczywistości. Ta dojrzałość doprowadza pisarza do właściwego tworzywa, pomaga mu koncentrować uwagę na właściwych sprawach, ułatwia mu dobór faktów i ustalenie między nimi hierarchii. Jest to warunek rozstrzygający dla stworzenia pisarstwa realizmu socjalistycznego. Ale jest to warunek pierwszy. Znajomość tworzących się procesów, ich ideologiczne opanowanie — doprowadza pisarza do punktów

NIENAWIDZĘ patrzenia na Polesie od strony folkloru... — mówi bohaterka „Topieli“ (M. Maria do adwokata z Warszawy, zachwycającego się Polesiem — na Topiele trzeba patrzeć nie od strony haftowanych fartuchów, ale od strony kołtuna“.

Ta wypowiedź Marii zdradza koncepcję powieściowej autorki. Dotychczasowa twórczość literacka o Polesiu, a szerzej o całych przedwojennych ziemiach wschodnich nie wychodziła w zasadzie poza ramy konwencji ustalonej niegdyś przez powieści Orzeszkowej, Weysenhofa czy Rodziewiczówny. Obraz t. zw. kresów wschodnich ogładaliśmy z reguły z pozycji ideologicznych dworku szlacheckiego i perspektywy „przedmurza“, dla których lud zamieszkujejący te ziemie był najwyżej marginesowym ornamentem.

„Topiela“ podobnie jak „Płomień na bagnach“ Wandy Wasilewskiej, przełamuje tę tradycyjną konwencję, dając obraz Polesia szeroko dokumentujący gospodarczo-społeczne i polityczne zagrożenia t. zw. „Kresów wschodnich“.

Na pierwszy plan w powieści wysuwa się zagadnienie stosunku wzajemnego Polaków i Poluszków — a więc problem narodowościowy. Już w „prologu“ powieści daje autorka symboliczny skrót tych stosunków. Topiela jest wsią polską. Na drugim brzegu Horynia znajduje się polska osada, lecz „choć wszelkimi księgami przypisana została do Topieli, nie chrzczonej jej tym mianem. Osada nazywała się po prostu Tamta Strona. Pomiędzy Topielą i Tamtą Stroną płynęła spokojnie rzeka przepięta promem, ruchomym mostem łączącym obie strony. Obok promu od świtu niemal aż do nocy gromady dzieci obrzucały się kamieniami, nie szczędząc przydomków i obelg, obrażających do głębi poczucie narodowej dumy“.

Metody polonizacyjne uprawiane na tych obszarach pokazuje autorka na przykładzie Dzikowicza piastującego „trzy posady jednocześnie — nauczyciela, fotografa i konfidenta. Fotografa, bo jego sportem jest uganianie się z aparatem fotograficznym po okolicy dla „utrwalenia“ śladów polskości na Polesiu. Poza uprawianiem tego niewinnego rzemiosła jest jeszcze konfidentem tropiącym komunistów, i psem łańcuchowym reżymu. Doskonała ilustracja tej postawy staje się tragicomiczny wypadek jaki zdarzył się Dzikowiczowi w wyniku zbyt nachalnego zachęcania „muzyków“ do świętowania rocznicy śmierci Piłsudskiego.

Dlażce działającej Dzikowicza i szykany policyjne przyczyniają się do rozpamiętania nienawiści narodowej. Autorka słusznie wskazuje, że problem narodowościowy na Polesiu miał podkład klasowy. Różnice narodowościowe pokrywały się tam z zachwycem z klasowymi. Stąd mniej uświadomieni chłopcy swą nienawiść klasową formułowali w języku szowinizmu narodowego. Polak

EDMUND NIZIURSKI

T O P I E L A

był zarazem panem. Ukrainiec — chłopem.

Problem narodowościowy uchwyciła autorka również w jego nerwicznym punkcie — w szkole. Polityka sanacji, która ze znanych względów lekkała się oświaty mas ludowych, dażyła do utrzymania Polesia w stanie gospodarczego i kulturalnego zacofania, co miało z jednej strony pomagać w eksploatacji ludności tych obszarów, a z drugiej strony hamować rozwój świadomości narodowej.

Oświatę wydzielało więc Poleszkom w takiej dawce, by spełniając funkcję polonizacyjną — nie zaszkodziła interesom klasowym — „polskich panów“. Pamiętamy, że o 15 km od Topieli znajduje się polski majątek zatrudniający ludność okolicznych wiosek za wynagrodzeniem 50 gr za dniówkę.

Czteroletnia szkoła I stopnia, osławiony wynalazek braci Jędrzejewiczów, produkująca masowo powrotnych analfabetów, doskonale się do tego nadawała. Zamykała bowiem dość skutecznie dostęp do szkół średnich, choćby zawodowych, a więc dawała gwarancję, że z polskiego biota nie wydziwnię się nie tylko „mniejszościowa inteligencja“, ale nawet „zwykły“, świątły człowiek.

Zrozumiałe, że do takiej szkoły nie bardzo kwapiono się posyłać dzieci... Autorka pokazuje, jak wysiłki nauczycielki podniesienia frekwencji szkolnej i poziomu nauki natrafiają na przeszkodę nie do przeczygnięcia. „Topiela“ udawadnia, jaką fikcją było „bezpłatne“ i powszechne nauczanie w warunkach przedwojennej Polski, szczególnie w tak zaniedbanych dzielnicach jak Polesie, gdzie chłop nie stać było już nie tylko na podręczniki, nie tylko na buty i ubranie dla dziecka, ale dostojnie na kawałek chleba. Cenzurki tych dzieci pisał głód, chłód i choroby, trudno więc było wymagać od nich dobrych wyników w nauce.

Poszukując przyczyn zaniedbywania szkoły przez dzieci, nauczycielka, panna Hanka poznaje się z niewysłowioną nędzą Topieli, tym straszniejszą, że pogłębianą przez ciemnotę i zabobon. Nędza ta dochodziła do punktu kulminacyjnego na wiosnę, kiedy niemal w każdej chacie brakowało już nie tylko chleba, ale ziemiaków — ludzie żywili się szczawiem i zaprzędawali wyzyskiwaczom.

Do głodu z reguły przyczyniał się na wiosnę tyfus i dziesiątkował ludność.

Tę „immanentną“ nędzę pogłębia jeszcze ucisk państwowy z zewnątrz. Wiek w swej ciemności zdana jest zupełnie na łaskę i niełaskę policji ustawicznie nadużywającej swej władzy, terroryzującej wieś i osaczającej ją szpi-

clami. Równie częstym i znienawidzonym przedstawicielem na wsi jest sekwestrator.

W tej sytuacji dochodzi nieraz do starć. Ucisk klasowy natrafia na opór, przechodzący czasami w otwartą walkę wręcz. Taką sceną walki klasowej w najostrzejszym tego słowa znaczeniu staje się bitwa, jaką stoczyli chłopcy o „hrudok“ czyli łaskę, do której zaczął sobie rościć pretensje dwór. Takim odrochem buntu jest próba pławienia sekwestratora.

Zasięg spojrzenia klasowego jest jednak u Dróżdz-Satanowskiej w pewnym sensie ograniczony. Ryślec autorki rozgrzebawszy podkład spraw narodowościowych i dotarłszy do warstw podziemia na „chłopsstwo“ i „państwo“ głębiej już nie dociera. Mimo, że autorka wspomina o różnicach majątkowych, o bogactwie Timofiejew, narzędzie piarskie autorki nie jest już tak precyzyjne, by w masie polskiej chłopstwa dostrzec różnic klasowych i walki klasowej. Sprawy te przesłaniają antagonizmy bardziej widoczne między chłopem a panem. Pięknej córce gajowego — Hapce — obraz bogatego chłopca Timofiejewa zamienia przeciw paniczki Michaś.

Obraz Polesia oglądamy najczęściej oczyma 19-letniej nauczycielki Hanki, która przybywa objąć w Topieli pierwszą posadę nauczycielską „przejęta swym posłannictwem, przepojona naukami o kagańcu oświaty, o miłości bliźniego i na dodatek o potęgę i mocarstwo polski, o poddaństwie dobrowolnym i radosnym kilku unii, o złączeniu się wikuistym Litwy, Białorusi i Ukrainy z wielką, wspaniałą, szlachecką i szlachetną Polską“.

Autorka zapoznaje nas z bardzo ciekawym procesem przemian światopoglądowych Hanki. Staje się rzecz niespodziewana. Odwróciły się role. To, koniec końcem, nie Hanka uświadamia i przekształca Topiele — to właśnie ta biedna, pogardzana Topiela przekształca Hankę.

Po rocznym pobycie na Polesiu — Hanka zmieniła się do tego stopnia, że jej „komunistyczne“ poglądy wywołują istne zgorszenie w jej rodzinnym endecko-dewocyjnym środowisku w Czestochowie.

Powieść, a właściwie jej pierwsza wydana część, kończy się powrotem Hanki do Topieli, mimo, że nad Polską zawisła chmura wojny.

Takie ustawienie sprawy zmusiło autorkę do specjalnej konstrukcji powieści.

Czuając niechęć do bezpośredniego komentarza, a zarazem lękając się, że samą akcją nie potrafi nałóżycie wyjaśnić problemów Po-

lesia, powołuje autorka do życia postacie równie świątliwych i inteligentnych, jak doskonale zorientowanych w miejscowych zagadnieniach — rodowitych Topielaków wyposażonych w dodatku przez autorkę w pełny autorytet i plenipotencję. „Specjami“ tymi są Maria Przyboska, córka miejscowego polskiego chłopca, była studentka uniwersytetu i Michaś Klinowski, syn leśniczego z Topieli. Oni to komentują i wyjaśniają nauczycielce zaobserwowane fakty, urabiają powoli jej wiedzę o Polesiu, pomagają jej ujrzeć „prawdziwą“ Topiele. Oni pełnią funkcje świadomości i sumienia Polesia.

Niestety, by tych mentorów ożywić, trzeba było dla nich zadziernić ich własne wątki, trzeba im było w myśl tradycyjnych wzorów wydzielić inteligentki rezerwat w polskich błotach, gdzieby mogli wnieść cały swój intelektualny, psychologiczny bagaż — i oto nieszczyście gotowe. Jednolity obraz społeczny wsi polskiej nie wytrzymał ciężaru inteligentkich problemów i załamał się. Błędem autorki było, że na surowy w swej realistycznej prawdzie obraz wsi polskiej, w jednolite i zwarte środowisko „muzyckie“ naniosła konflikty żywym zaczerpnięte z pseudopsychologicznych powieści konflikty „inteligentki“, obce w zasadzie opisywanemu środowisku i obojętne dla życia wsi. Dla życia wsi, ale nie dla powieści. Powieści bowiem zaszkodziły. Konflikty „inteligentki“ dopuszczalne tu zresztą tylko ze względów kontrastowych, jako wupukujące proste, pierwotne i „naturalne“ konflikty wsi nie powinny urastać do zagadnień pierwszoplanowych, jak to się dzieje w „Topieli“ z powikłaniami życiowymi Michaśa i Marii.

Dzięki szczególnym zdolnościom i wytrwałości Maria przepchała się przez gimnazjum i studiowała na uniwersytecie, póki nie wyszła za mąż. Wkrótce zerwała jednak z mężem i zniechęcona do życia zagrzebała się w Topieli. Tutaj pomaga od czasu do czasu „muzykom“, wstawia się za nimi do władz, oświeca ich i... pielęgniuje na dnie serca niewygasła miłość do Michaśa. Jednym słowem byłaby nieszczyśliwą kochanką i dobrą panią z powieści Rodziewiczówny, gdyby nie to, że z prekonekt jest... komunistką. Poza tym zresztą okazuje się w każdym calu inteligentką według najlepszych wzorów dwudziestolecia. Do monotonego „muzyckiego“ Polesia wnosi „oryginalne“ inteligentkie urazy psychiczne, niewyżyte namietności i nierozwiązane konflikty, wśród których goruje miłość do Michaśa.

„To co ich łączyło, to nie była przyjaźń, to była głęboko ukryta, siłą zepchnięta na samo dno duszy namietność. Gdyby ktokolwiek

uprzytomnił im to — może Michaś nie musiałby zginąć. Lecz któż to miał uczynić? On zbyt Marię ubóstwiał, aby jej powiedzieć: — Kocham cię! Ona czuła się znowu zbyt stara, a czuwał jej wypukłe chłopięce usta. I dlatego na drodze Michaśa stanęła Hapka, śliczna wiejska dziewczyna o promieniona romantyzmem swojej chłopskości, którą chciał nobilitować“ — Oto tajniki zasadniczego konfliktu powieści.

Maria jako typ postępowej działaczki na wsi nie jest zbyt przekonująca. Zastajemy ją już „gotową“ w pełnym rynsztunku ideologicznym i postępowej pozie. Jest nieprzekonywującą jak zawsze nieprzekonywujący będzie upozowany na marksistę inteligent, któremu wydaje się, że już bardzo dużo uczynił dla rewolucji skoro dał się przekonać do idei komunistycznych. Nie widzimy Marii w żadnej określonej robotce „partyjnej“, nie pokazuje autorka jej łączności z jakakolwiek organizacją postępową. Maria nie zajmuje się żadną systematyczną pracą społeczną czy polityczną. Za taką nie można przecież uważać jednej pogadanki w świetlicy na temat Hiszpanii, doraźnych interwencji u władz, czy indywidualnego kształcenia Trofima. Zresztą nie te momenty wzbijają się najbardziej w pamięć czytelnika. Mimo, że autorka pokazuje próby Marii podźwignięcia się z odrętwienia po śmierci Michaśa, dla czytelnika Maria pozostanie przede wszystkim nieszczyśliwą kochanką.

Innego rodzaju konflikty przeżywa Michaś. Jego droga do socjalizmu była trudniejsza niż Marii, włókł bowiem za sobą bagaż obciążeń klasowych, pochodził z klasy „panów“, ze środowiska o szlacheckich, zacofanych reakcyjnych poglądach.

Nigdy też się od swego świata nie uwolnił. Zawsze przypominał będzie panicza bawiącego się w „czerwonego luda“. Jego bratanie się z ludem określił najlepiej sama Maria: „To jest taka łaska pańska, ...zawsze jestem temu przeciwna, ale Michaś żyć nie może, jak się kaszy nie łaje u chłopów. I ja mu ustępuję. Lecz jestem zdania, że takie wizyty usypiają ich“.

Michaś nie potrafi rozwiązać banalnego zagadnienia młodzieńczej miłości. Był zbyt słaby, by przemóc opór rodziców i ożenić się z większą dziewczyną Hapką. Z drugiej strony jego „szlachecki honor“ nie pozwolił mu jej porzucić. Romantyczna etyka polityczna uwarła mu jedyne „wyjście“ — śmierć.

Michaś reprezentuje zmaganie się w duszy człowieka nowej idei ze starymi tradycjami. Postać Michaśa wskazuje jak trudno zerwać więzi klasowe, jak mści się dziedzictwo klasowe na renegeatach.

Odrępnienie i przytłaczającej atmosferze tych „inteligentkich“ wątków czeka czytelnika dopiero, gdy autorka przechodzi do innych postępowych postaci powieści — chłopów. W zapomnianej Topieli zaczyna się bowiem budzić nowe. Piękną postacią powieści jest Grzegorz syn Zajczychy, niezwykle zdolny samouk. Najwięcej skrzęstał z pobytu w więzieniu. Dostał się tam z powodu zatargu z policją, której nie podobało się czytanie przez Grzegorza prasy lewicowej, zresztą legalnej. W więzieniu mógł dopiero, korzystając z wolnego czasu pracować nad sobą i pogłębić wykształcenie. W powieści znajmie on miejsce Michaśa po jego śmierci — nie tylko w serech kobiet, ale i w robotce politycznej i — przyznajmy — zrobi ‘o lepiej, bez ludomanstwa zato z energią i uporem chłopskim. Po wyjściu z więzienia pracował przecież jako robotnik w fabryce i nauczył się prawdziwego marksizmu nie tylko w teorii, ale i w praktycznym działaniu.

Mimo krzywd wyrządzonych mu przez sanację, Grzegorz w 1939 r. pójdzie biec się za Polskę — w imię dobrze pojętego internacjonalizmu — będzie to przecież walka z gorszym jeszcze wrogiem od sanacyjnego reżymu, z faszyzmem niemieckim.

Więzieniu także zawdzięcza Kirylo swoją przemianę wewnętrzną. Kirylo ukradł kawałek drutu telefonicznego (był mu potrzebny do wyrobu beczek). Przeważliwna policja dopatrzyła się w tym akcie niedyplomatycznej dywersji i roboty komunistycznej i Kirylo dostał się do więzienia jako „polityczny“. Wyszłł jako uświadomiony komunist.

Nadzieją Topieli jest również Trofim. Jego pęd do oświaty wykorzystywał zrazu zawiadawca, podkarmiając go literaturą dewocyjną. Po śmierci Michaśa zajął się nim Maria i Trofim powiększył zastęp świątliwych i postępowych Topielaków.

Do poważniejszych formalnych braków książki Dróżdz-Satanowskiej zaliczyć trzeba przerosty partii dialogowych, rozważniających niepotrzebnie akcje. Powodem ich jest zarówno to, że autorka nie potrafi wywolewać prawdy społecznej o Polesiu bez nadużywania publicystyki, jak i zwykła skłonność do gadulstwa, brak należytej uwagi w doborze i selekcji wypowiedzi postaci książkowych.

Mimo niedociągnięć, które wytknęliśmy w toku naszych rozważań, autorka osiąga zasadniczy cel artystyczny. Czytelnik otrzymuje prawdziwą, realistyczną wizję Polesia. I to jest podstawową zaletą książki — osiągnięciem zbliżającym poważnie autorkę do progów realizmu socjalistycznego.

Edmund Niziurski

* Zofia Dróżdz-Satanowska „Topiela“, Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza“, Warszawa 1948.

WŁADYSŁAW BLACHUT

JESZCZE O REWOLUCJI KULTURALNEJ NA WSI

W nrze 10 (241) „Wsi“ z dn. 12 marca br. przeczytałem z satysfakcją interesujący reportaż Franciszka Grabowskiego na temat upowszechnienia czytelnictwa gazet i książek w gminie Iwierzycze, pow. Dębica.

Przy tej sposobności stwierdziłem, że jego spostrzeżenia na temat chłopskiego czytelnictwa w okresie międzywojennym i w budującej socjalizm Polsce Ludowej oparte są na prawdziwych a przy tym krytycznych przesłankach. Widać, że autor reportażu żyje terenem, widzi co się wokół niego dzieje i pragnie przyspieszyć przebieg wielkich przemian na odcinku wiejskim.

W reportażu Grabowskiego zalekał mi najbardziej ten ustęp, w którym zastanawia się on, co należy zrobić, aby czytelnictwo prasy „rozpowszechniło się jeszcze bardziej na terenie wsi“. Na marginesie osiągnięć w kolportażu prasy chłopskiej przez agencje w Wiercanach Grabowski dochodził do przekonania, że należy „powołać i uaktywnić specjalne komitety propagandowe, które pracując wspólnie z pracownikami poczty będą pomagały przy zjedynianiu prenumeratorów“. W ten sposób pośrednio stwierdza, że występujące dziś coraz wyraźniej zjawisko masowego czytelnictwa prasy w ośrodkach wiejskich w dużej mierze przypisać należy zasługom poczty i pocztowców, t.j. kierownikom małych placówek pocztowych i listonoszom wiejskim, o czym, niestety, zbyt mało mówi się i pisze.

Stwierdzenie to nabiera szczególnej aktualności w chwili, gdy kraj nasz rozpoczyna planową kampanię o zmianę gospodarczego i kulturalnego oblicza wsi, o odrobienie wiekowych zaniezań na polu oświaty powzecznej. W toku tej walki przystępna w cenie treści książka oraz torująca jej drogę przez wieś: tani kalendarz i postępową gazetę, przynajmniej coraz głębiej pod chłopską strzechę i zyskując sobie wśród chłopów coraz większą popularność i sympatię, spełniają szczególną misję. Trzeba przy tym przyznać, że dokonana na przestrzeni ubiegłego roku rozbudowa kadr listonoszów wiejskich do stanu niemożliwanego u nas w okresie reżymu sanacyjnego, zaprowadzenie co-

dziennego doręczania poczty w każdej gromadzie wiejskiej oraz wybitne zagęszczenie sieci wiejskich placówek pocztowych, nie pozostało bez dodatniego wpływu na rozwój czytelnictwa w masach chłopskich.

Wyrazem tego są zwiększające się z miesiąca na miesiąc nakłady czasopism, przeznaczonych dla zaawansowanych politycznie i bezpartyjnych mas chłopskich a przede wszystkim wyraźny wzrost kadr s t a l y c h odbiorców słowa drukowanego na wsi, przy czym pojęcie „słowa drukowanego“ rozciąga się nie tylko na tradycyjnie najpopularniejsze w ośrodkach wiejskich: gazety czy kalendarz, ale również na wartościową, przez poszczególne wydawnictwa planowo wśród chłopów kolportowaną książkę.

Miliony gazet i dziesiątki tysięcy rozprawdzonych miesięcznie przez pocztę wydawnictw książkowych — to skuteczny oręż na froncie walki z zacofaniem gospodarczym i kulturalnym wsi, to czynnik przyspieszający przeobrażenia ideologiczno-społeczne i gospodarcze w życiu wsi. Prowadzone pod hasłem „Przynajmniej jedna gazeta w każdej chłopskiej chacie“ współzawodniczą pracy pocztowców na polu kolportażu prasy robotniczo-chłopskiej z miesiąca na miesiąc przynosi lepsze wyniki i daje gwarancję wyrugowania zmyru powrotnego analfabetyzmu z rejonów wiejskich.

Widoczne sukcesy nie osłabiają czujności stale rosnącej kadry listonoszów wiejskich. Uzbrowieni w coraz lepszy rynsztunek ideologiczny i bogatszy ładunek słowa drukowanego wraz z aktywnym kulturalno-oświatowym są na drodze do likwidacji na wsi kulturalnych odłogów, by przygotować grunt dla nowego, które idzie...

Podziwiał przy tym należy osiągnięcia indywidualne i zespołowe tych świadomych swego posłannictwa ambasadorów słowa drukowanego na wsi.

Dziś chciałbym na tym miejscu podkreślić wspaniałe osiągnięcia zespołowe i indywidualne przodujących listonoszy wiejskich z okręgu krakowskiego, tj. z województw: krakowskiego, rzeszowskiego i części

kieleckiego. Na pierwszym miejscu postawić tu należy Węgierską Górkę.

Węgierska Górka w powiecie żywieckim to wieś słynna nie tylko z piękności swego położenia, lecz także miejscowość od dłuższego czasu przodująca na polu upowszechnienia czytelnictwa prasy chłopskiej i robotniczej w województwie krakowskim.

O ile pierwszy przymiot Węgierskiej Górki jest od niej niezależny (dar przyrody), o tyle jej przodownictwo kulturalne na polu czytelnictwa w znacznej mierze przypisać należy zasługom tamtejszej placówki pocztowej i jej w wysokim stopniu upolewnionych pracowników.

Począł w Węgierskiej Górce, na czele której od roku 1933 (z przerwą okupacyjną) stoi ob. Marian Obacz, obsługuje obszar 18 rozrzuconych w górach gromad i osiedli, zamieszkałych przez 12.416 osób (w tym 3.400 rodzin) mało i średniorolnych chłopów i robotników.

„Za sanacji w roku 1939 chłopci tutaj nie mogli pozwolić sobie na stałą prenumeratę gazet. Tylko niektórzy kupowali ją od święta lub po wypłacie“ stwierdza nacelnik Obacz, w Odrodzonej Polsce Ludowej sprawa ta przedstawia się zupełnie inaczej.

Dowody tego nadzwyczajna chłonność „słowa drukowanego“ w terenie i ciągłe wstępujące kadry stałych odbiorców takich czasopism jak: „Przyjaciółka“ (610 prenumeratorów), „Gromada“ (559), „Rolnik Polski“ (397), „Chłopska Droga“ (258), „Świerzczyk“ (169), „Pokolenie“ (101 i innych.

O ile w roku 1946 w rejonie Węgierskiej Górki było tylko 67 stałych prenumeratorów i rozchodziło się 1.517 gazet miesięcznie, o tyle na dzień 1 marca br. liczba prenumeratorów czasopism robotniczo-chłopskich wzrosła do 2.573 (!), a ilość rozprawdzonych miesięcznie gazet osiągnęła imponującą cyfrę 17.290!

W ten sposób za sprawą listonoszy wiejskich wzrasta rozemnienie społeczno-polityczne okolicznego chłopstwa i kształtuje się coraz wyraźniej świadomość konieczności rychłych przemian gospodarczych na odcinku wiejskim.

Toteż osiągnięcia listonoszy wiejskich z Węgierskiej Górki znajdują odpowiednie uznanie zarówno w oczach miejscowej ludności, jak i u interesujących się przebudową kulturalną wsi czynników.

Rower i kilka poważnych nagród pieniężnych, przyznanych tamt. listonoszom przez Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik“ i R.S.W. „Prasa“, stanowi maturalny dowód tego uznania, zaś awans społeczny jednego z tamt. listonoszy (Jana Szczotki), który z pracownika fiz. przemianowany został na

licy prasa robotniczo-chłopska liczy sobie prawie 5 tysięcy stałych odbiorców!!!

Niemalą w tym zasługą tamtejszych listonoszów wiejskich (Szczotka, Grzegorek, Jasek, Jurasz, Łajczak i Świmianki), którzy od szeregu miesięcy współzawodniczą ze sobą na polu upowszechnienia czytelnictwa i dziś doprowadzili do tego, że w ich rejonach doręczają każda rodzina chłopska czyta stale przynajmniej jedną gazetę.

W parze z upowszechnieniem czytelnictwa prasy rozwija się czytelnictwo wyższego rzędu. We współzawodnictwie okręgowym właśnie listonosz wiejski z Węgierskiej Górki ob. Franciszek Szczotka, b. robotnik fabryczny i górnik emigracyjny (Francja) zdobył pierwsze miejsce w przeprowadzaniu doskonałego Kalendarza Zw. Samopomocy Chłopskiej „Poradnik Rolnika“, uzyskując wśród 1.227 obsługiwanych przez siebie mieszkańców imponującą cyfrę 781 odbiorców tego wartościowego wydawnictwa.

Pozostali listonosze rozprawdzili w ub. roku ponad 2 tysiące kalendarzy „Przyjaciółki“ i Z.S.Ch. „Poradnik Rolnika“.

Również wydawnictwa książkowe „Faraon“, „Płaczówka“, „Pan Tadeusz“ oraz broszury specjalne w rodzaju „Reflektorem po świecie“ i inne znajdują pośród tamtejszych chłopów najchętniej nabywanych.



Doręczanie poczty gospodyni wiejskiej z Brzostowej — Kolasek Józefie. (Fot. A. Millak).

pracownika umysłowego i odznaczonego Srebrnym Krzyżem Zasługi świadczy o tym, że prawdziwa zasługa w budującej socjalizm Polsce Ludowej nie pozostaje bez nagrody.

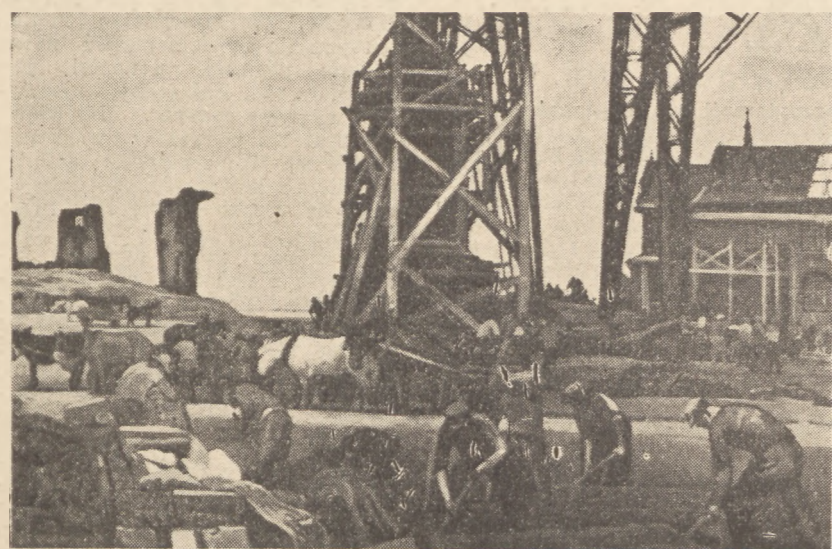
Osiągnięcia chłopskich listonoszy z Węgierskiej Górki stają się przedmiotem nasładowania na pozostałych pocztach.

O agencji w Wiercanach napisał do „Wsi“ Grabowski. Ja chciałbym jeszcze wspomnieć o peesłowskiem (mikołajczykowskiem) do niedawna Radłowie w tarnowskim i o biednackiej poczcie góralskiej w Cichym k/Czarnego Dunajca.

Otóż taki Radłów za sprawą swoich listonoszy wiejskich a w szczególności kilkakrotnego przodownika pracy Jana Duliana rozprawdza ostatnio wśród 8 tysięcy obsługiwanych przez siebie mieszkańców ponad 2 tysiące wydawnictw w prenumeracji złonowej, przy czym „Gromada“ znalazła tu rekordową cyfrę 1.115 odbiorców a wydawnictwo tak nowe dla wsi, jak „O trwały pokój o demokrację“ aż 68! Na ten temat listonosz Dulian mówił mi: „W rejonie Upt. Radłowie obecnie czytają prasę — biedni, robotnicy, mało i średniorolni chłopcy. Bgaczące nie bardzo się śpieszą do czytania.

Władysław Blachut

Ogólnopolska wystawa plastyki



„Praca przy odbudowie kolumny Zygmunta” — S. Czajkowski.



„Papieros po wsadzie” — A. Krajewska.

W jesieni ubiegłego roku zapowiadana została na marzec 1950 roku Pierwsza Ogólnopolska Wystawa Plastyki. Tematem Wystawy miało być życie współczesne, walka i praca, nowy człowiek Polski Ludowej. Zapowiedź Wystawy skierowała plastykę polską na drogę jak najściślejszego powiązania się jej z masami pracującymi: robotnikami i chłopkami, zachęcała do największej komunikatywności wyrazu plastycznego, do wejścia na drogę realizmu socjalistycznego.

Nadesłano na wystawę około 3.000 prac. Udział wzięło ponad 1.000 artystów plastyków. Wzwanie zostało usłyszane i docenione. Ze wszystkich stron kraju, z najbardziej zapadłych miejscowości, starzy i młodzi malarze, samoucy i amatorzy stanęli do ogólnokrajowego przeglądu swych sił i możliwości plastycznych. Jury Wystawy zakwalifikowało 629 z nadesłanych prac (408 autorów), z czego na malarstwo przypadło 380 prac, na rzeźbę 120 i na grafikę 110.

Pierwsza Ogólnopolska Wystawa Plastyki może i powinna mieć przełomowe znaczenie w rozwoju naszej sztuki. Nie tylko przez to, co bezpośrednio wniesie jej plan (trudno w tej chwili przewidzieć wyniki), ale przede wszystkim przez to, co wniesie do dyskusji, do rozważań kłusujących na masowych przykładach osiągnięć i błędów. Wystawą zainteresowani są bez mała wszyscy ludzie w Polsce rysujący, malujący i rzeźbiący.

Ilościowa wielkość Wystawy, wielkość pospolitego ruszenia plastyków jest faktem, który głęboko wedrze się w świadomości i życie mas ludowych narodu.

Już zaczyna się ów pierwszy ferment wśród malarzy, który ogarnie wkrótce masy widzów, oglądających wystawę, czy reprodukcje jej eksponatów na łamach pism. Z wstępnych, gorących rozmów z malarzami odnotowujemy tu kilka urywków.

HELENA KRAJEWSKA

„Jedynie sięgnięcie do nowej tematyki, a przede wszystkim do środowiska robotniczego, do pracy robotnika i chłopca — jest właściwą drogą poszukiwania nowych form artystycznych. Tylko sięgając do nowych treści ideowych artysta jest w stanie sprawdzić nieprzydatność i małą wartość środków artystycznych estetyki burżuazyjnej.

Na czoło zagadnień plastycznych wysuwają się dziś dwa zasadnicze postulaty, które będą miały wpływ decydujący na prawdziwie twórczy rozwój naszej sztuki: 1) zmiana wewnętrznej postawy twórcy w stosunku do nowej, stojącej się rzeczywistości. Artysta musi być przekonany o słuszności naszej walki o socjalizm. Gdy przekonanie to przeradza się będzie w wiarę i ukończenie tej jedynie humanistycznej idei, gdy wejdzie w krew twórcy, wtedy dzieło jego stanie się własnością całego społeczeństwa. Dzieło twórcze bez wzruszenia, bez pasji będzie albo po prostu złe, albo w najlepszym razie, zainteresuje garstkę „znawców” jako etuda formalna.

2) Zmiana zainteresowań i nawiązków estetycznych. Twórczość artysty musi odkryć nowemu człowiekowi piękno nowych treści naszego życia. Musimy stworzyć nowe nawyki upodobań i zainteresowań... Świat dzięki nauce, technice i przemianom społecznym realizującym ideę sprawiedliwości znacznie się poszerzył. Świat naszych uczuć jest jeszcze ubogi i

ciężki, nosimy na sobie piętno burżuazyjnego dekadentyzmu, w którym kształtowały się opacznie nasze poglądy estetyczne. Trzeba to świadomie zmieniać, tak, jak zmieniamy świadomie oblicze naszego społeczeństwa. Na naszym etapie historycznym — bezpośrednim przedmiotem walki są nawyki schyłkowej epoki kapitalizmu i dlatego tematyce burżuazyjnej wstecznej i społecznej musimy dialektycznie przeciwstawić nową tematykę budującą się epoki i tematykę tę uczynić bliską odbiorcy przez nasycenie jej nowych treści szczerym wzruszeniem — aby budowanie socjalizmu stało się w życiu piękne, bliskie i godne podziwu.

Wystawa daje wyraz przełomowi, jaki zachodzi w postawie naszych artystów w stosunku do rzeczywistości. Powszechnym zjawiskiem wśród plastyków polskich jest przełamywanie kanonów formalistycznych, co wywołuje wiele nowych talentów twórczych i przywróci starych, zapomnianych artystów naszej sztuce. Patrząc na wystawę odnosi się wrażenie, jak gdyby życie wdarło się do sztuki, przestaje ona być sprawą tylko ciasnej garstki fachowców, staje się własnością całego społeczeństwa.

FRANCISZEK STRYNKIEWICZ:

„W całym szeregu prac rzeźbiarskich widać usiłowanie uchwycenia nowego tematu, co spowodowało zmianę gatunku formy rzeźbiarskiej. Są tu duże osiągnięcia realistyczne, przy pozostałościach formalistycznych, które jednak dla całości Wystawy i dla dyskusji jaką ta Wystawa spowoduje dadzą dużo materiału porównawczego rzeźbiarom.

Po tej wystawie spodziewam się ośmielenia rzeźbiarzy w kierunku dużych kompozycji grupowych, naturalnie o tematyce społecznej najważniejszej. Dotychczas było zbyt mało dyskusji na temat rzeźby. Myślę, że Wystawa powinna wywołać szeroką dyskusję, potrzebną dla posunięcia rzeźby naprzód w kierunku realizmu socjalistycznego. Różnorodność tematów jaką wystąpiła w pokazie rzeźby nie jest jeszcze dostateczna. Rzeźbiarze w znacznym stopniu łączą swą pracę z architekturą. Moim zdaniem rozwój rzeźby polskiej nastąpi właśnie w łączności z architekturą. Zapotrzebowanie na rzeźbę już nastąpiło — specjalnie w nowobudującej się Warszawie.

EUGENIUSZ EIBISCH:

„Wielka sztuka zajmowała się zawsze tym, co życie nadaje sens, a nie życie sens odbiera. Dlatego, każdemu wielkiemu przełomowi w historii ludzkiej, kiedy jedna forma bytowania jest zamieniona przez inną, lepszą — towarzyszy rodzenie się nowych haseł w sztuce, gdzie w nowej formie rodzące się życie znajduje swój wyraz.

„Aby stworzyć klimat dla ostatnich 50 lat — burżuazja starała się przesunąć, jeżeli chodzi o sztukę — punkt zainteresowań estetycznych jak najdalej od człowieka, co zresztą w dużym stopniu zostało osiągnięte. Iluż artystów odeszło jak gdyby w inny świat, gdzie sprawy ludzkie nie przedstawiają wielkiego zainteresowania.

Potężny nurt życia powstającego musi porwać za sobą artystów. Zdrowy instynkt twórcy każe artystę powrócić do spraw człowieka. Dowodem tego jest obecna wystawa.”

(Wys.)

WALERY OSMENDA

ROBOTNICZY W WOLI ZABIERZOWSKIEJ

(Z materiałów konkursowych)

I.

Rok temu z Krakowskich Zakładów Wytwórczych Materiałów Elektrotechnicznych w Krakowie została wysłana pierwsza ekipa robotnicza do gromady Wola Zabierzowska, w gminie zbiorowej Zabierzowskiej w powiecie bocheńskim, województwie krakowskim, w celu omówienia z kierownictwem ośrodka maszynowego w Woli Zabierzowskiej sposobów współpracy i zapoznania się z potrzebami tegoż ośrodka maszynowego.

Ekipa składała się z trzech osób — w skład jej wchodził sam robotnik.

Taki był początek. Od tego czasu w historii Woli Zabierzowskiej, do której dotarła reforma rolna i idea spółdzielni produkcyjnej, coś się zmieniło.

Odtąd, co drugą lub trzecią niedzielę, wpadał do wsi dziwnie nastrojony wariat z wesoło usposobionymi słusarzami, stolarzami i robotnikami wielkiej fabryki.

Chłopom z początku było nijako. — Wiadomo: to komuniści, politykierzy. Co oni tu chcą, — pomrukiwali po kątach.

Ta inwazja życia fabrycznego w monotonię wsi była dla nich niezrozumiała i nastrojała ich raczej wrogo aniżeli przyjaźnie.

Robociarze nie brali im tego za złe. Chętnie zaczęli z nimi pogawki, rozdawali gazety, wczuwali się

w ich potrzeby i troski. To łamało niechęć chłopów i rodziło zaufanie.

Z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, wraz z wkładem pracy ekip robotniczych w życie wsi, tajała niechęć chłopów i budziło się w nich inne pojęcie o ekipach robotniczych, o robotnikach i o spółdzielni produkcyjnej.

W końcu, gdy którejś niedzieli ekipa nie przyjechała, chłopom zdawało się to dziwne i było powodem do przypuszczeń i przewidywań — kiedy też oni znowu do Woli Zabierzowskiej przyjadą.

II.

Oczywiście przemiany nie przyszły naraz. Przechodziły one stopniowo. Goczał Franciszek, Hardyn Piotr, Bilski Stanisław, Wolnik Jan, Bogacz Jan i wielu, wielu innych pracowników dużej fabryki, wraz z 9-cio osobową Komisją Łączności z ośrodkiem maszynowym w Woli Zabierzowskiej, dokładali starań, aby ekipy wyjeżdżające do Woli Zabierzowskiej składały się z mądrych i światłych fachowców, ludzi znających bolączki wsi i chłopów i umiejących szukać na nie rady.

Ekipa robotnicza, wyjeżdżając z fabryki, zabierała ze sobą wszystkie potrzebne na wsi narzędzia pracy: kuźnie polowe, aparaty spawalnicze, młoty i młotki, imadła, pilniki, piły itd. itd. oraz niezbędne surowce i materiały.

Dobrosław Klimek

Dokąd pojedą pisarze

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem wypowiedzi pisarzy wyjeżdżających na wies o tych właśnie wyjazdach („Wies” Nr 9 (240)). Zapewne celem ich jest nie tylko znalezienie twórczo literackiego, zdobycie tematu do przyszłego utworu, czy poznawanie życia na wsi. Każdy z pisarzy wyjeżdżających na wies w poszukiwaniu nowych treści zdaje sobie chyba sprawę z tego, że jednocześnie wchodzi w teren, na którym w obecnej chwili najbardziej rozgorzała walka klasowa. Stąd drugim celem pisarza jest uchwycenie w tej walce — współpraca z podziemną organizacją Partii, z Kółkiem ZSCh, z młodzieżą ZMP-owską; pomoc dla organizujących się spółdzielni produkcyjnych, domów kultury, świetlic itp. Jednocześnie pisarz jako człowiek o dużym wyrobieniu społecznym i politycznym może i powinien zwracać wielką uwagę na machinacje wroga klasowego i być czujnym wobec nich.

Mając takie założenie w względzie, musi on głęboko zastanowić się nad wyborem wsi. Jak wynika z listów pisarzy we „Wsi”, to większość z nich wybiera się do wsi produkcyjnej w obecnej fazie rozwoju jej. A więc Władysław Machajek jedzie do wsi, w której jest spółdzielnia produkcyjna i Jan M. Giszga tam, gdzie dom kultury, uniwersytet ludowy itp., Czesław Schabowski wybrał PGR, Edward Martuszecki będzie jeździł z kinem obwodowym, trzymając się ludniejszych i lepiej postawionych wsi. Pogan — może właśnie Pogan wybierze coś innego. Jemu przecież to chleb powszedni — dotrzeć do tej wsi z dalszego planu.

Dlaczego tak piszę i o co mi chodzi?

Otóż jest rzeczą niewątpliwą, że wsi, w których już są np. Spółdzielnie produkcyjne, PGR-y, wsi z kinami i domami kultury — są najlepszymi utworami przyszłej socjalistycznej wsi. W nich może pisarz badać dokładnie jak przez mikroskop zarówno przejawy walki klasowej, budzenie się nowej świadomości chłopskiej, jak i początki budownictwa socjalistycznego. Ale spojrzmy na tą sprawę z innej strony.

Są wsi, gdzie tkwią jeszcze w głębokim zacofaniu społeczny i oświatowy. Weźmy za przykład powiat miechowski, który pod tym względem może jeszcze najlepiej stoi w woj. krakowskim. Wystarczy przejść się po wsiach takich gmin jak Nieszczów, Raclawice, Książ Wielki... aby się zorientować w sytuacji. Są wsi, które do dziś pozostają pod silnym wpływem bogaczy, które nie mają bibliotek, domów ludowych, ani

nawet świetlic. Organizacje społeczne, albo wcale nie działają, a ich terenie, albo działają źle. Kształci się tam procent synów i córek chłopów mało i średniorolnych. Akcja likwidacji analfabetyzmu nie objęła wszystkich analfabetów; najbliższa szkoła podstawowa jest o kilka kilometrów od wsi. Mało kto we wsi czytuje książki, mało pism dochodzi do rąk ogółu. Stąd biedniak wciąż jeszcze zależny jest od kulaka. Nawet tradycje pozostałości feudalnych wychodzą na wierzch — kobieta nie bierze udziału na równi z mężczyzną w życiu społecznym i gospodarczym wsi. Jest uważana niekiedy za coś niższego w stosunku do mężczyzny. A jak wygląda sprawa sojuszu robotniczo - chłopskiego? łączności miasta ze wsią? W takie „dziury” odległe o 20 km. lub więcej od miasteczka, to nawet robotnicze brygady łączności nie zabiją, a co dopiero kino obwodowe, czy jakis zespół teatralno-swieciliowy.

Czy takie wsi, których jest nie mało, mogą być pominięte przez pisarza? — Stanowczo nie! To nie, że zrazu nie będzie miał chętnych do rozmowy i współpracy, że będzie laził po kostki w błocie i syział od czasu do czasu na sianie, że będzie pracował przy lampie naftowej. To nie, że narazi się na wiele niewygód i nieprzyjemności, że przyjdzie mu stoczyć nie jedną bitwę z bogaczami i wrogami nowego porządku na wsi. Ale w nagrodę za to na takiej „dalszej” wsi pisarz spotka się z najbardziej ostrymi akcentami walki klasowej, tam gdzie w biedniakach świadomość tej walki dopiero się odzywa. Pozna tę walkę w jej początkowych momentach. Będzie mógł sam przytoczyć się do jej zwycięstwa. Obserwowanie samego procesu ujawni mu najbarziej jaszkrawe zaostrzenie się konfliktów klasowych między kulakiem, a biedną wiejską. Taki teren daje pisarzowi - działaczowi olbrzymie pole możliwości oddziaływania bezpośredniego — w Partii, w ZSCh, na zebraniach i na radach. Ile stąd konkretnych tematów do reportaży literackich, ile tematów do opowiadań, nowel, powieści, scenariuszy... Jakże bogate tworzywo literackie znajdzie tu pisarz!

Powiedziałem na początku, że chyba Pogan wybierze taką wies, bo jemu najbliższa biedota wiejska. Z niej wyszedł — nią zajął się w swej twórczości literackiej, więc chyba teraz również jej nie porzuci.

Sądzę jednak, że nie tylko Pogan to zrobi, wierzę, że inni potrafia przelatać się wewnątrz i „przeciwko większym trudnościom nieść swój zwiększony wysiłek”.

DOBROSŁAW KLIMEK

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet.

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr 7.

Tel. Red. Nacz. 812-71. Tel. Redakcji 8-00 61 do 6 wewnętrzny 23 i 76. Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWNI. - OŚW. „C Z Y T E L N I K” REDAKCJA NIE ZAMOWIENIOM REKOPISOW NIE ZWRACA.

Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16

Warunki prenumeraty: miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł. Należności za prenumeratę należy wplacać na konto PKO Warszawa I—6841 z zaznaczeniem „za twg. „Wies”.

Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik”. Marszałkowska 3/5.

B-101411

Oczywiście na pierwszym planie troskliwej opieki ekipy znalazł się ośrodek maszynowy z maszynami rolniczymi, który wraz z 6-cio osobowym Komitetem Założycielskim Spółdzielni Produkcyjnej w Woli Zabierzowskiej i 30-tu jej członkami, jest zaczątkiem Spółdzielni Produkcyjnej.

Ośrodek ten, poza Wolą Zabierzowską, obsługuje ponadto trzy inne gromady: Zabierzów Bocheński, Wolę Batorską i Chobot.

Maszyn rolniczych jest mało, pracy zaś jest bardzo dużo. Nic więc dziwnego, że ekipa, przede wszystkim, postawiła sobie za cel pomóc technicznie ośrodkowi maszynowemu; naprawić psujące się maszyny rolnicze, wymagające od czasu do czasu gruntownych remontów i napraw, bez których stałyby się one bezużyteczną kupą szmelcu.

Pomoc ekipy stała się w tym wypadku czemś podstawowym.

Ekipy nie ograniczały się jednak wyłącznie do pracy technicznej w ośrodku maszynowym. Miały one za zadanie pomóc chłopom i nawiązać z nimi przyjaźń i stworzyć w praktyce jak najkonkretniejsze więzy sojuszu robotniczo-chłopskiego.

Chłopi z Woli Zabierzowskiej, jak już wspominałem, z początku niechętnie odnosili się do przybywających ale po krótkim czasie odczuli dobrodziejstwo ich przyjazdów do wsi.

Dzisiaj nie ma bodaj we wsi biedniaka czy średniaka-chłopa, którzyby w ramach tego sojuszu robotniczo-chłopskiego nie mieli w podarunku naprawionej siekiery, kosy, piły, garnka itd. itd.

Po krótkim już czasie umysły chłopów przeobraziły się. Przeobraziły się do tego stopnia, że I sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej, tow. K l i m a Franciszek stał się we wsi jakby niegłęboko opiekunem.

Bo przecież nikt inny tylko I sekretarz gromadzkiej Podstawowej Organizacji Partyjnej, przewodniczący Komisji Założycielskiej Spółdzielni Produkcyjnej, Klim a Franciszek, znał całą wies, myślał szczegółowo o tym co i gdzie ma dokonać ekipa robotnicza. To jego mądre, chłopieckie oczy i troskliwość, przewidyujący umysł mówili, że to lub tamto należy naprawić lub zrobić lub, że temu lub owemu chłopu należy dopomóc.

Ośrodek maszynowy i Partia wyrosły naraz we wsi na czynniki, poprzez które płynnie do wsi pomoc pod różnymi postaciami. Samo zaś pojęcie Spółdzielni Produkcyjnej z pierwotnego „dziwowskiego” przeobraziło się w pojęcie jedności, siły, wspólnego działania dla wspólnego dobra.

Chłopi zrozumieli, że ośrodek maszynowy, poza produkcyjnymi korzyściami, daje im jeszcze inne korzyści — korzyści społeczne i korzyści w postaci pomocy fachowców z miasta, którzy umia tak mądrze i przemyślnie zarządzać zło — z rzeczy bezużytecznej w paru minutach zrobić znowu niezbędne narzędzie w gospodarstwie domowym, za które trzeba by zapłacić setkami o ile nie tysiącami złotych.

Ci, którzy liczyli, że te kilka maszyn rolniczych, które składały się na ośrodek maszynowy, zepsuje się i że w końcu nie będzie kto miał zapłacić za ich naprawę i, że ośrodek maszynowy, tak czy tak, musi zamknąć kiedys — przeliczyli się.

Liczba maszyn rolniczych w ośrodku maszynowym powiększa się stale.

Dzisiaj ośrodek liczy:

- 10 siewników zbożowych,
- 2 siewniki nawozowe,
- 2 kultywatory,
- 2 koparki,
- 1 traktor wraz z całkowitym urządzeniem,
- 2 młockarnie,
- 2 brony kołowe,
- 2 maszyny do czyszczenia zboża,
- 1 tryjer do zboża,
- 4 beby do zaprawy ziół,
- 1 plug 1-no skibowy,
- 1 plug 6-cio skibowy,
- 1 beczkowóz,
- 2 opylacze do drzewek,
- 1 grabiarka,
- 1 maszyna do roztzepywania siana.

Życie wsi zaczyna nabierać rozmachu.

Partia Robotnicza, Gminna Spółdzielnia Samopomocy Chłopskiej, Związek Młodzieży Polskiej, Koło Gospodyń Wiejskich rozrastają się na żywotne czynniki wsi.

Łączność z miastem i fabryką poprzez ekipy robotnicze uczy wieś inaczej patrzeć na rzeczywistość, inaczej oceniać zachodzące przemiany i uczy przeobrażać własne zaklepięte poglądy na pełne, kwitnące życiem pojęcie o pracy i życiu.

III.

Równocześnie, choć nie równie często, z ekipami robotniczymi przyjeżdżają do Woli Zabierzowskiej ekipy kulturalno-oświatowe lub działacze oświatowi czy młodzieżowi lub z Ligi Kobiet z fabryki. Dzięki właśnie zainicjowa-

nej wymianie kulturalno-oświatowej pomiędzy fabryką a wsią odbyło się w Woli Zabierzowskiej szereg imprez, na których wygłoszono referaty na tematy akcji „W” i „H”, referaty polityczne i społeczne, wyświetlano filmy, przeprowadzono agitację zachęcającą chłopów do wstępowania do Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej i Spółdzielni Produkcyjnej. Poprzez te wszystkie imprezy o charakterze społecznym czy politycznym wieś wchodziła w pełne życie społeczne i polityczne i przyswajała sobie jego istotną treść. Ze tak jest dowodzą tego fakty, które mówią, że ilość członków Podstawowej Organizacji Partyjnej powoli wzrastała, wzrastała również ilość Z. M. P. i Koła Gospodyń Wiejskich jak również Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”.

Specjalne znaczenie nadały ekipy robotnicze świętu Robotniczemu 1 Maja. W dniu 1 Maja wraz z ekipą przyjechała do Woli Zabierzowskiej orkiestra fabryczna. Z okazji tegoż święta w dniu 1 Maja ekipa robotnicza wykonała dalsze zobowiązania dla uczczenia Święta Robotniczego:

- wręczyła plug najbiedniejszemu chłopu,
- naprawiła motor spalinowy, pospawała dwa koła zębate do kieratu,
- naprawiła 1 plug dwuskiobowy, naprawiła jedną wagę do ważenia żywności,
- naprawiła 12 wag dziesiętnych,
- „ 2 siewniki,
- „ 16 maszyn do szycia chłopom ze wsi,
- naprawiła jedną pompę naftową, jedną młockarnię,
- dobrobie koło zębate talerzowe do wirówki,
- okuto 9 kół do wózków,
- „ 6 kółek do tacek,
- naprawiono jedną pompę strażacką,
- naprawiono jedną sieczkarnię,
- „ 5 sztuk grabi żelaznych,
- naprawiono 2 kopaczki,
- wykonano nowe 2 kopaczki do buraków cukrowych,
- wykonano instalację elektryczną w szkole podstawowej, oraz wykonano szereg drobniejszych napraw.

W ten sposób uczyła ekipa robotnicza Święto 1 Maja, święto sojuszu robotniczo-chłopskiego.

W podobny sposób ekipy czciły Święto Ludowe i Święto Odrodzenia Polski. Ten potężny wkład w życie wsi nie mógł pozostać bez wpływu na jej mieszkańców. Nawet najoporniejsi chłopci, ci którzy niechętnie odnosili się do ekip robotniczych z tego powodu, że pracują one w niedziele, zostali przekonani i uznali, że byli w błędzie czując do ekip nieuzasadnioną niechęć. Zrozumieli, że robotnicy nie mogą przecież przyjeżdżać do nich w dzień roboczy i jeśli przyjeżdżają do nich w niedzielę to poświęcają dla nich swój wolny czas, przeznaczony na odpoczynek, po to, aby im dopomóc.

Najlepszym sprawdzianem zachodzących zmian w życiu wsi były zebrania organizowane przez ekipy robotnicze. Z początku na zebraniach te przychodziło po kilka lub najwyżej kilkanaście osób. Obecnie na zebraniach te chłopcy z Woli Zabierzowskiej uczęszczają masowo.

W wieloletniej działalności ekip robotniczych nie zapomniano i o Związku Młodzieży Polskiej i całej młodzieży chłopkiej. W dniu 2 października, w dniu Święta Pokoju, ekipa robotnicza wręczyła młodzieży z Z. M. P. w Woli Zabierzowskiej jedną piłkę nożną, jedną piłkę do siatkówki i jedną siatkę. W ten sposób wyposażono starszą młodzież wsi w sprzęt sportowy i stworzono podstawy do zapropagowania sportu. Dalej w dniu 6 listopada ekipa robotnicza przekazała 12 ławek szkolnych miejscowej szkole podstawowej.

Nic więc dziwnego, że łączność pomiędzy gromadą a ekipą robotniczą KZWM rola stale i nieustannie. Chłopi przez tę łączność mieli w robotnikach krakowskich najlepszych przyjaciół, na których mogli liczyć nawet w najgorszych wypadkach. Robotnicy zaś starali się wszelkimi siłami, aby wszystkie potrzeby chłopów zaspokoić i okazać im naprawę braterską usługę. Dowodem tego było choćby umieszczenie kilku chłopów, synów chłopów z Woli Zabierzowskiej, w Fabrycznej Szkole Przemysłowej w Krakowie.

Jak więc z tego wynika opieka nad ośrodkiem maszynowym wybiegła daleko w głąb wsi, w jej najistotniejsze potrzeby indywidualne i zbiorowe.

To co robotnicy i chłopcy robią w Woli Zabierzowskiej i innych wsiach jest niczym innym jak tylko ostateczną mobilizacją klasy robotniczej do ostatecznego rozprawienia się z wrogiem klasowym na wsi i dlatego w mobilizacji tej muszą wziąć udział wszyscy chłopcy małe i średniorolni.

W Woli Zabierzowskiej do Spółdzielni Produkcyjnej zgłosiło się 30 chłopów posiadających razem 10 ha ziemi, poza tym gromadzkiej ziemi jest około 80 ha co razem stanowi 90 ha. Taki jest początek.

WALERY OSMENDA